AW ŁOZIŃSKI



MADONNA BUSOWISKA

1946

SERIA NOWEL NUMER 1

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI

MADONNA BUSOWISKA

SŁOWO WSTĘPNE
STANISŁAWA VINCENZA

WYDAWNICTWO KLON BRUKSELA
1946

Na okładce fragment drzeworytu roboty
E. Bartłomiejczyka

SŁOWO WSTĘPNE

Ktoś raz powiedział, że gdyby tak — prawie na chybił trafił — wybrać różne utwory z różnych epok literatury polskiej i wydać je, jeszcze możnaby stworzyć wybór rzeczy wartościowych i ciekawych. Takiego przedsięwzięcia coprawda nikt dotąd nie wykonał, ale wobec fatalności ciągłego przerywania naszej tradycji wydawniczej, młodszym generacjom nieraz tak może się wydawać, gdy się przedrukowuje i niejako na nowo odkrywa utwory z epok dawniejszych.

Któż z młodszych wie naprzykład coś o „Madonnie Busowiskiej"? Zapewne też nie wiele wie się o jej autorze. A przecież w ubiegłym stuleciu właśnie ten utwór uważano za najlepszą nowelę polską.

Dając na nowo tę rzecz czytelnikom, należałoby zwrócić uwagę na dwa momenty w szczególności, które dziś mogą ją znów nam uczynić bliską.

Od pół wieku z górą bądź to nadzieja przyszłości społecznej i kulturalnej warstw ludowych, bądź ich faktyczna emancypacja, bądź zwrot ku ich swoistej twórczości, bądź też potrzeba czy moda prymitywizmu wniosły i w europejską i w naszą literaturę wiele różnych tematów ludowych, chłopskich. Bodziec do tego (podobnie jak do badań etnograficznych i badań nad kulturą ludową) wyszedł bezsprzecznie od inteligencji, od klas, które reprezentują świadomość kulturalną. Ostatnio coraz więcej starano się wykazywać głęboką przepaść między obu kulturami, obcość wzajemną kultury wsi i miasta, kultury ludowej, podświadomej i oficjalnej. Ze smakiem i upodobaniem podkreślano mocarność chłopską i łączono ją w tych przedstawieniach nieraz z barbarzyństwem, rzekomo właściwym środowiskom chłopskim.

Czynili to przeważnie pisarze inteligenccy, właściwie obcy wsi. Tym gorzej wychodziły na tym obrazy samej kultury chłopskiej, obrazy

pragnień i aspiracji duchowych chłopa. Chłop to obowiązkowo prymityw, to potęga, to „krzepa“ ale to nic nie ma wspólnego z duszą i kulturą. Takie było założenie i takie uprzedzenie wielu autorów. Lecz trzeba dodać, że takie, rzekomo realistyczne i prymitywne, w istocie zdaje się zbarbaryzowane obrazy chłopskiego środowiska, wywoływały w samych chłopach, o ile je przeczytali, niesmak a nawet oburzenie.

Jakże inaczej jest u Łozińskiego! Widzimy coprawda obcość między umysłowością chłopów a „panów“. Te oba światy nie żyją ze sobą, lecz obok siebie. I czyż w jego oczach kultura chłopska jest przez to kulturą, że daje się oświecać, prowadzić i infiltrować przez inteligentów? Bynajmniej! Z jednego środowiska dostaje się najwyżej do drugiego coś co jest przypadkowym darem, uronionym okruchem lub nawet odpadkiem z kultury inteligenckiej. To nabiera w chłopskiej duszy zupełnie innego znaczenia. Bowiem przynależność kulturalna jakiegoś utworu i produktu ludzkiego zależy od jego interpretacji, od uszeregowania w organiźmie celów i środków kulturalnych. Wiedząc dobrze o tym, Łoziński wyprzedził nowsze badania etnograficzne. Tym żywiej i tym bardziej przekonywująco przedstawił właściwe motory kultury: tęsknoty, pragnienia i nadzieje ludzkie, te które społeczność chłopska przeżywa nawet może głębiej i mniej relatywnie. Te dwa światy dzieli wszystko, ale łączy je głębiej pojęte człowieczeństwo. Przedstawienie zarodków i motorów kultury w duszy ludzkiej, przedstawienie szczęścia tych dążeń, jego zawodów i konfliktów, także w społeczeństwie chłopskim, jest wielką i trwałą zasługą tej książki.

Drugą okolicznością, która może nas tu ciekawić, to moment terenowy. Niektórzy z nas bowiem, przekonani czy to zabiegami nieprzyjaciół, czy to naszą własną ciasnotą, czy to nierozumem kontrahentów „mniejszościowych“, dają wmówić w siebie, że tereny wschodnie Rzeczypospolitej to już stracone obszary dawnej kolonizacji i ekspansji, a nie organiczne części wielkiej konfederacji — wspólnej Rzeczypospolitej. W takich zapędach likwidacyjnych czy rezygnacyjnych niektórzy z nas zapominają, że przecież Mazowsze, niewątpliwie etnograficznie „niepodejrzane“, dość późno weszło w skład Rzeczypospolitej. Musimy przyznać, że takie stanowisko doprowadza do kurczenia się pojęcia

obywatel Rzeczypospolitej. A jednak od kiedy istnieje literatura polska, uczy nas ona czego innego. Uczy nas Rej, Orzechowski, Zimorowicz,uczą nas Malczewski, Zaleski i Słowacki, uczy nas Łoziński i Bielawski, wcale nie kolonizatorzy, lecz obywatele wspólnej Rzeczypospolitej. I „Madonna Busowiska“ wcale nie jest kwiatem egzotycznym z terenu kolonjalnego. Jest dziełem syna tej ziemi, jest głosem ziemi wspólnej. Łoziński czuje razem z ludem, z którym poczuwa się do wspólnoty.

Powiedział Mickiewicz: „O ile rozszerzycie serca wasze, o tyle rozszerzycie granice wasze“. W tym samym sensie choć skromniej, a przeto stosownie do ciężkiej doby dzisiejszej, możnaby rzec: O ile nie dopuścimy do zwężenia dusz naszych, utrzymamy nasze granice!

STANISŁAW VINCENZ

MADONNA BUSOWISKA

I

Od kiedy ksiądz starosolski powiedział Naście, aby tak ciągle nie płakała, bo jej Wasylko pewnie jest teraz cherubinem, biedna Nasta zamiast ukoić w sobie żałość jeszcze więcej łez wylewała na wspomnienie zmarłego dziecka, choć już rok prawie mijał, jak stary kum Danyło zaniósł wśród zawiei śnieżnej małą trumnę na cmentarz busowiski, pokrywając ją połą kożucha, aby wilgoć nie zniszczyła malowanego papieru, którym była wylepiona. Ksiądz strosolski powiedział to na pocieszenie matki, spotkawszy raz Nastę na gościńcu, jak biegła z listami ze Smolnicy do Spasa, i biedna matka uczuła zrazu ulgę w sercu na to zapewnienie, którego dobrze nie rozumiała, bo po raz pierwszy w życiu słyszała o cherubinach. Ale kiedy następnej niedzieli wstąpiła po drodze do łacińskiego kościoła w Starem-Mieście i, trafiwczy właśnie na kazanie, słyszała, jak ksiądz wikary Dzikowski mówił o majestacie Stwórcy i o wojskach niebieskich, otaczających tron przedwieczny, o cherubinach i serafinach, Nasta piła duszą jego słowa, jakby słuchała kogoś, co widział wczoraj jej Wasylka i nawet z nim rozmawiał. Wyszła ze słowami księdza w uszach i głowie, a śpiesząc dalej ku Spasowi, nawlekała na biedną myśl swoją słowa kaznodziei, jak paciorki, a myśl rzeczywiście rwała jej się co chwila, jak słaba nitka, i słowa rozsypywały się, jak paciorki po gościńcu; gubiła jedno po drugiem, ale jedno przecie zostało, a było to wyrażenie księdza o „wojskach niebieskich".

I Nasta uczuła nagle wielki niepokój w sercu. Widać, że Pan Niebieski ma także służbę i wojsko i że jej biedny Wasylko służy w niem za cheruba. A kiedy jest w wojsku, choć w niebieskiem, to może tam coś podobnego do wojska cesarskiego, alboż to wiedzieć — a tyle nasłuchała się Nasta listów żołnierskich; każdy chłopiec pisze do domu o jakiś grajcar i o tem, jaki pan kapral ciężki i jaki pan kapitan ostry. Przestraszyła się Nasta bardzo — płakała dotąd tylko po Wasylku, teraz nagle przychodziła do przekonania, że jej tu, na

ziemi myśleć trzeba o doli dziecka, co służy w „wojsku niebieskiem". A musi mieć swoją dolę, skoro służy: złą, albo dobrą. A kiedy zła, czy nie możnaby jej naprawić? — A kiedy dobra, czyby też jeszcze lepszą być nie mogła?

Macierzyńska troska szła do nieba za dzieckiem, które już na świecie troski nie potrzebowało. Chciała się Nasta wrócić do Starego-Miasta i wypytać dobrze księdza Dzikowskiego o tem wojsku anielskiem i o jego dziewięciu chórach; on musi to dobrze wiedzieć, on wie nawet może, w którym chórze, jakby w bataljonie, przebywa jej Wasylko. Ale nie śmiała biedna: gdzież takiej babie wchodzić w rozmowę z księdzem, i to łacińskim — a i śpieszyć się trzeba było koniecznie, aby nie spóźnić się z pocztą do Spasa do pana „verwaltera",[1] który pewnie już zły czeka na gazety. Bo trzeba wiedzieć, że Nasta biegła codzień ze Spasa na pocztę dobrą milę drogi i przynosiła listy dla zarządu kamery,[2] dla żydów po karczmach, dla mieszkańców wiosek, które same nie posyłały na pocztę, a latem i dla gości żętycznych. Dlatego też Nastę znano w całej okolicy pod mianem pocztarki, dopóki późniejsze wypadki nie dały jej innej nazwy, streszczającej całą duszę zarobnicy, a to nazwy „fundatorki".

Nasta była już od lat dziesięciu wdową i od tyluż lat była pocztarką. Przedtem mąż jej spełniał tę czynność, którą łączył z obowiązkiem stróża przy urzędzie kameralnym spaskim. Nasta późno wyszła zamąż, a jakoś we dwa lata po przyjściu Wasylka na świat mąż ją odumarł, nie zostawiając nic prócz starej, napół rozwalonej chałupy z przegniłą strzechą słomianą na końcu wsi nad potokiem, dwie wierzby odarte, starą gruszę, która już rodzić przestała, i szmat ogrodu, który nic rodzić nie chciał, bo był pokładem piasku i żwiru. To było całe dziedzictwo Nasty. Po śmierci męża pan „verwalter" pozwolił wspaniałomyślnie, aby Nasta biegała codziennie na pocztę, o przeszło całą milę oddaloną, za co pobierała dwa złote na miesiąc, a, jak obliczyła Nasta według zwyczajnego między ludem tamtejszym archaizmu, całe trzy „dudki"[3] na dzień. Na pocztę wychodziła z domu o świcie, a odbywszy tam i napowrót czterogodzinną drogę, miała zawsze całą połowę dnia na zarobek. Latem było dobrze: wychodziła z domu z pierwszym rumieńcem jutrzenki, a wracała dobrze przed południem; dnia bożego było dużo, można było jeszcze zarobić w polu. Ale zimą ciężko było bardzo: i poczta później przychodziła, i prze-

---

[1] *verwalter* — (z niem.) zarządca

[2] *kamera* — (z łac.) zarząd dóbr państwowych w byłej Galicji.

[3] *dudek* — dwa centy lub sześć halerzy austr.

kopywać się trzeba było przez zaspy śniegu, bo w tych stronach zima ciężka i zawalna, a zarobek cały chyba z przędzy.

Ale to wszystko było niczem, póki żył Wasylko. Do tej strasznej doby, w której „coś przyszło na dzieci", że im gardła puchły i do trzeciego dnia żadne nie wytrzymało, tak, że w Busowiskach ile było dzieci do lat dwunastu, tyle mogiłek na cmentarzu nakopał stary Arseni — do tej doby, kiedy Nasta wracała z pocztą a Wasylka nie było pod Horkawiecką górą, gdzie zawsze czekał na nią z kilku owcami, a ona, zdjęta okropną trwogą przeczucia, pobiegła do czarnej chaty za wsią, nie czując ziemi pod bosą stopą, i zastała Wasylka pod przypieckiem na starym kożuchu jeszcze nieboszczyka ojca, z dużemi, okrągłemi oczyma, które jakby z wielkim lękiem i zdziwieniem patrzyły na belki, aby się już nazajutrz niczego nie lękać i niczemu nie dziwić na świecie — aż do tej, mówię, czarnej godziny Nasta nie zazdrościła nikomu niczego, była szczęśliwa, jak królowa. Czarna, roztargana chata była dla niej wielkiem dziedzictwem, stara grusza gajem rozkosznym, a potoczek wesołym muzykantem, któremu się nigdy spać nie chciało. Ale od chwili, jak Wasylko był na cmentarzu, zaszło słonko dla Nasty — jeśli świeciło jeszcze, to dla innych ludzi, nie dla niej; świat się zrobił taki czarny i taki pusty, jak jej chałupa, która dopiero teraz wydała jej się bardzo czarna, tak, jak potok już teraz nie chciał śpiewać, tylko płynęła nim sama żałość, że byłaby go chętnie odwróciła na Paraszyne pole, gdyby była mogła, aby tak nie szlochał ciagle i dał choć zasnąć w nocy. Przedtem kurs codzienny na pocztę i z poczty nie był taki ciężki, mila nie była taka długa; teraz wyraźnie urosła, wyciągnęła się sama z siebie, jak żmija. Na gościńcu było wesoło, bo to ludzi i wózków i bryk na nim bywało aż od Turki i od Beskidu, ale to ją zajmowało tylko dopóki, jak sama opowiadała, nie zamknęły się jej uszy i oczy, tak, że sama nieraz pomyślała sobie, że na całym świecie, to jest od Łomnieńskich borów aż po górę Baczyńską, bo na tem się dla niej kończył świat i *ultima Thule,*[4] chyba ona i stary siwy koń w Jolkowym kieracie pod Suszycą to najpodobniejsze do siebie stworzenia.

Bywało, kiedy Wasylko jeszcze żył, to latem wyprowadzał ją aż pod Horkawiecką górę, a gdy wracała, zawsze ni stąd ni zowąd coś małego, szarego staczało się z pomiędzy górskich jałowców na dół,

---

[4] *ultima Thule* — (łac.) daleka Thule; w ten sposób oznaczali starożytni pojęcie czegoś bardzo odległego, końca świata. (Thule, nieznana bliżej wyspa czy grupa wysp na półn.-zach. na morzu północnem.)

niby niewielka bryła ziemi, przypadało gdzieś w rowie gościńca i za chwilę znowu wychylało się z poza kupki żwiru drożnego do góry: był to Wasylko, okryty, jakby strzechą, sczerniałym kapeluszem słomianym z ogromnemi kresami, w szarej płachcie, spiętej ostro zastruganym kołkiem drewnianym, z batogiem trzy razy większym, niż on cały — coś niby strach na wróble, węzełek zgrzebnego płótna, tylko, że to wszystko miało dwoje dużych czarnych oczu iskrzących się, jak żywy węgiel. Wtedy w torbie Nasty znalazł się zawsze biały obwarzanek ze smolnickiej murowanki, albo jajeczny kołacz od Ruchli staromiejskiej.

Znowu była wiosna, ale już brakło tej małej szarej istoty, takiej szarej, że, jak się to położyło w miedzę na przeorane pole, myślałeś, że to skiba, jak każda inna, i zająca śpiącego łatwiejby poznać — zjadła biedactwo surowa ziemia, do której takie było podobne. Dla Nasty z całego świata nie zostało się nic, a, jeśli co zostało, to coś zupełnie obojętnego, coś, co nie miało żadnego związku z jej duszą, tak, że jej już teraz „wszystko jedno“ było.

Ale od czasu, kiedy to ksiądz starosolski wspomniał, że Wasylko teraz jest cherubinem, a ksiądz wikary Dzikowski dodał dalszy ciąg do tego jednego słówka, które teraz, jak cień Wasylka, biegało za Nastą ze Spasa do Smolnicy, ze Smolnicy do Spasa, szumiało w gałęziach usychającej gruszy i mruczało w potoku — od tego czasu Naście przestało być „wszystko jedno“. Mój Boże, gdyby tak wiedzieć, jaka tam dola Wasylka w jednym z dziewięciu chórów niebieskiego wojska, gdyby tak wiedzieć, coby tu, z tej ziemi przebić się mogło przez ten strop niebieski i trafić prosto do Wasylka? Odtąd ta jedna, jedyna myśl zapanowała w Naście, a zbyt wielką była, aby się obok niej pomieścić jeszcze coś mogło w jej głowie.

Nasta nie była nigdy ani śmiała, ani wymowna — trudno jej było poradzić się kogo, tem trudniej, że sama nie umiała sobie zdać sprawy, o co jej chodzi. Raz próbowała coś mówić o tem z organistą Wiśniowskim i zapytała, coby tu robić, aby Wasylko nie był sierotą — „tam“ — dodała tajemniczo i westchnęła ... Organista, który się miał za osobę duchowną, uśmiechnął się z politowaniem, popatrzył na swoje cholewy, które się błyszczały tak samo, jak u księdza kanonika, i odpowiedział, że jak sama umrze, to Wasylko przestanie być „tam“ sierotą. Rzecz jasna, niema co mówić, jak umrze — ale nim umrze? A co wiedzieć, kiedy Pan Bóg śmierć ześle?

Stary Onufryj, furman z ławrowskiego monasteru, posiwiał na służbie u bogobojnych czerńców, on jej poradzi pewnie, myślała — i za pierwszym razem, kiedy jechał do lasu, próbowała rozgadać się

z nim o Wasylku, ale Onufryj popatrzył tylko na babę, a potem na jej skórzaną torbę z listami, wyciągnął bardzo powoli fajkę z ust, wielki palec sztorcem nastawił ku górze i rzekł z filozoficzną powagą: B a , k o b y t o b u ł a p o c z t a d o n e b e s ! Potem, kontent bardzo z siebie, zatkał usta cybuszkiem, jak korkiem, i zacisnął jeszcze wargi, jakby na znak, że już dosyć powiedział i że więcej nie powie.

— Ba, gdyby to była poczta do nieba! — powtórzyła Nasta. — Ale kiedy niema! A czemu niema? — myślała dalej, krocząc czerwonemi stopami po gościńcu. Jak niema, to przecież to bardzo źle, że niema; między żywymi jest poczta, choć się nie rozłączają na zawsze i prędzej, lub później widzieć się z sobą mogą, a między matką a dzieckiem, co na zawsze poszło, poczty niema! I tak, gdzie tylko chciała uczepić myśl swoją, aby wysnuć z niej coś pewnego, wszędzie się rwało i rwało, i po każdej takiej próbie kończyło się na tem, że Nasta pochylała smutnie głowę i zamykała rzecz westchnieniem: H o d i ! H o d i ! — „trudno, ciężko", fatalistyczne słowo ruskie, pełne głuchej rezygnacji, prolog ciężkiej konieczności, której się poddać trzeba, epilog walki, której wygrać nie można.

W Busowiskach, gdzie Nasta mieszkała, nie było ani księdza, ani nawet cerkiewki; ludek żył tu bez nauki i opieki religijnej, jak dotąd w tylu górskich wioskach ruskich. To tłumaczy ciemnotę religijną naszej biednej bohaterki i niedostatek jej wyobrażeń chrześcijanskich. Wieś należała do parafji terszowskiej, ale tylko w wielkie święta odwiedzali tamtejszą cerkiew mieszkańcy busowiscy. Nasta raz do roku tylko bywała w cerkwi terszowskiej, a to w Wielką Sobotę, aby bić pokłony przed „płaszczenicą"[5] i poświęcić paskę[6] wielkanocną. Tego roku nawet i w ten dzień uroczysty nie była w cerkwi, bo paski i pisanek nie było już święcić dla kogo, a przed „płaszczenicą" nie miałaby była siły modlić się, boby jej chyba serce pękło od żałości. Ale teraz postanowiła sobie pójść zaraz w pierwszą niedzielę do Terszowa. Może będzie kazanie, może ksiądz Tarczanin będzie coś mówić o cherubinach, tak, jak ksiądz wikary Dzikowski w Starem-Mieście. Ale jegomość nie mówił nic o wojskach niebieskich. Mówił o modlitwie i jej potędze, mówił, że modlitwa jest ucieczką strapionych, lekiem dusz cierpiących, że modlitwa niebiosa przebija i że jest „pocztą do nieba".

Nasta, która pierwszej części kazania nie rozumiała, ale według zwyczajnych reguł przyzwoitości biła się bez przerwy całą siłą

---

[5] *płaszczenica* — płachta lniana kościelna z wizerunkiem ciała Chrystusa, używana w kościele wschodnim.

[6] *paska* — pascha, kołacze wielkanocne.

w piersi, wydając równocześnie ciężkie westchnienia, bo tak wszyscy ludzie robili i bo bez tego kazanie bezskuteczne jest dla duszy, dopiero na owe ostatnie słowa kazania ocknęła się z nabożnego osłupienia. Wytężyła słuch, ile mogła, przestała bić się w piersi i patrzyła w księdza z szeroko otwartemi ustami. A więc jest poczta do nieba! A więc miała rację, rozumując, żeby to wielka była niesprawiedliwość, gdyby była Onufrego prawda, że poczty niema do nieba! Tylko, że ona, biedna, modlić się nie umiała; ledwie pacierz odmówić mogła i to niecały bo Wiruju[7] już jej nie dopisywało. A zresztą w tej jedynej modlitwie, którą umiała, nie było ani słówka o Wasylku, a jeśli modlitwa ma być pocztą do nieba, trzeba, żeby stał w niej wyraźnie Wasylko, jak adres stoi na liście.

Skoro sama modlić się nie umiała, tak, jak nie umiałaby napisać listu — to trzeba koniecznie, aby „coś" modliło się za nią. Kiedy ktoś z jej znajomych chciał pisać do syna w wojsku, szedł do Motylewicza w Starem-Mieście, a Motylewicz kazał sobie za to płacić. Ale niedość zapłacić Motylewicza: trzeba było jeszcze na poczcie kupić cesarską pieczątkę na list, bo bez tego wszystko za nic. A potem co po liście, kiedy w nim nic niema ... Dmytryszyn sprzedał jałówkę, aby synowi w wojsku posłać pieniądze, a stara Jawdocha zastawiła ostatni sznurek korali u żydówki Bajnyszowej, tej, co masłem handluje, aby jej Iwaś, co stoi gdzieś za górami i wodami, na Węgrzech, dostał parę grajcarów. A ona co za jedna, że chciałaby darmo? Biedna, bo biedna, niema co mówić, ale przecież co kosztuje, to kosztuje, a na świecie nic za darmo.

Tak argumentowała Nasta, pracując ciężko głową przez kilka tygodni, bo tyle czasu trzeba było, aby przyszła do jakiegoś wniosku i aby z tych kilku faktów i podobieństw realnego świata, któremi dysponował jej umysł, zrobić sobie abstrakcję. Kilku tygodni potrzeba na to było, a przez ten cały czas Nasta chodziła jak „durna", z zaciśniętemi ustami, z oczami, wpatrzonemi w szczere powietrze, a muszkuły jej twarzy pomarszczonej w takiej były kontrakcji, jakgdyby się znajdowała ustawicznie w stanie wielkiego fizycznego natężenia. Cherubiny w kazaniu księdza Dzikowskiego, organista Wiśniowski w błyszczących cholewach, bazyljański furman Onufryj, ksiądz terszowski, poczta smolnicka, pisarz Motylewicz, jałówka Dmytryszyna i korale Jawdochy — to były ogniwa sylogizmu, i przez to wszystko napół pogański umysł Nasty przebił się mozolnie i nareszcie doszedł do chrześcijańskiego pojęcia ofiary.

---

[7] *wiruju* — (ukr.) wierzę.

Trzeba, aby dla Wasylka poniosła ofiarę, ofiarę z tego, co jej udziałem było na tej ziemi, a więc z trudu, z głodu, z bezsenności nocnej, z ciężkich znojów letniego skwaru i z okrutnego biczowania zimowych wichrów, byle ten znój, i głód, i chłód zamienić na to, o co, jak się przekonała, najtrudniej było zawsze dla niej i jej podobnych: na pieniądz, na tę najcięższą daninę ubogiego, na krystalizację jego krwi i potu. Kiedy Nasta widziała ludzi busowiskich, płaczących najdłużej i najrzęsistszemi łzami, to zawsze o pieniądze. Seneta z Popowszczyzny dużo przeniósł na siebie: syn poszedł w rekruty, żona umarła, a kiedy skradziono mu pieniądze, zebrane na zapłacenie żyda Wolfa, poszedł do komory i powiesił się, i taki koniec był wszystkiemu. O wszystko ciężko, ale o pieniądze najciężej.

Tak tedy Nasta przyszła do pozytywnego rezultatu w swych rozumowaniach, przekonała się, że, nim będzie mogła nadać jakiekolwiek ciało marzeniu serca, musi mieć dużo pieniędzy. Ale to „dużo" było dla Nasty pojęciem całkiem niejasnem, nieokreślonem. Co to jest dużo pieniędzy? Przypuszczała tyle tylko, że to „dużo" zaczyna się na granicy, po której nie liczy się już ani na grajcary, ani na „dudki", ani nawet na „szajne",[8] jak bywało, ale na całe złote. Musi uzbierać dużo pieniędzy, „bohato",[9] tak „bohato", aby aż było dosyć.

---

[8] *szajne* — niemieckie „Schein", nazwa papierowej monety w połowie zeszłego stulecia.

[9] *bohato* — (z ukr.) wiele.

II

Teraz dopiero nastąpił stanowczy przełom w życiu Nasty, moment psychologiczny. Świat rozwidnił jej się znowu, jeśli nie pogodą serca, to światłem celu, stałego, wyraźnego, świadomego celu. Zaczęła zbierać pieniądze. Nie znała przedtem chciwości — teraz widok monety rozpalał jej blado-sine oczy, brudna miedź czworaka zdawała się mrugać do niej uroczo, jak gwiazdka na szafirowem niebie w noc pogodną. Z dwóch złotych, płaconych jej miesięcznie za noszenie poczty, nie ruszała prawie teraz grosza; nie kupowała soli, tej jedynej bakalji nędzarzy; kawałek placka owsianego i kilka ziemniaków wystarczyło jej na pożywienie; mleko było dla niej zbytkiem. Przepadała za zarobkiem, pracowała, jak bydlę robocze na polu, choćby najtaniej, byle ciągle, przędła dla sąsiadek całemi nocami, a stara żebraczka Nakoneczna podpatrzyła ją nawet, jak, wracając z pocztą, wyciągała rękę do przejezdnych, i zagroziła zawstydzonej, że jej kamieniem głowę rozwali, jak sobace,[10] bo ma pensję, a rzetelnej żebraczce chleb odbiera.

Po dłuższym czasie takiego wysilenia zdawało się Naście, że już zacząć może myśleć o tem, coby zrobić. I tu znalazła się wobec trudności wyboru. Była już teraz nieco poinformowana, jak się wyraża pamięć o duszach zmarłych. Powiadano jej, że trzeba na to modlitwy, mszy, dobrych uczynków. Modlitwa dobra, msza także byłaby dobra, choć nie odpowiadała całkowicie jej wymaganiom, — ale co do „dobrych uczynków", to już w żaden sposób znaczenia ich pojąć nie mogła. Wesprzeć biednego, dobry uczynek — mówił ksiądz Tarczanin z Terszowa. Ale kto w Busowiskach biedniejszy od Nasty? Chyba nikt, bo nawet Nakoneczną, tę samą, co jej kamieniem rozwalić chciała głowę, widziała pijącą mleko i gotującą sobie w niedzielę jaja u Czereszynej, a ona, Nasta, żyje tylko owsianym chlebem i lebiodą, a jeśli się uda, naczerpie gdzie pod Starą-Solą ropy, co jej jeszcze

---

[10] *sobaka* — (z ukr.) pies.

strażnicy nie zasypali, i to cała jej omasta. A choćby na ten przykład Nakoneczna jeszcze stokroć była nieszczęśliwsza, to jak da Nakonecznej, to będzie dla Nakonecznej, a nie dla Wasylka, a ona chce tylko dla Wasylka. Msza dobra jest, ale krótka: ot, chwila nieduża, i już jegomość wraca od ołtarza. Mało a drogo. A ona chce koniecznie wymyśleć coś takiego, coby się zawsze modliło za Wasylka i dla Wasylka.

Kunikowej ze Strzelbic, wielkiej bogaczce, bo ma gruntu morgów cały sorok,[11] nie chowały się dzieci, a Kunikowa wymurowała kaplicę z Matką Boską, i syn jej rośnie zdrów, jak dąbczak. I wszystko jej teraz udać się musi, Kunikowej, bo „fundatorka". To słowo „fundatorka", zasłyszane od strzelbickiego djaka,[12] przejęło Nastę uczuciem jakiejś niewypowiedzianej admiracji i zazdrosnego uniesienia. I ona musi być fundatorką dla Wasylka. Kaplicy nie wymuruje, ale fundować będzie figurę. Taka figura to jest właśnie to „coś", co zawsze modlić się będzie, bezustanku, dniem i nocą, bo to jest kamienna modlitwa. A jeszcze każdy, kto ją mija, odda pokłon, i przeżegna się, i westchnie do Pana Boga, a te wszystkie westchnienia już oczywiście będą iść na rzecz Wasylka, a to zysk niemały. To tak coś będzie, jak z rogatką Mendlową: wszystkie wózki i na targ i z targu zatrzymać się przed nią muszą, a Mendel od każdego bierze pieniądze i bierze. Tak dobrze będzie.

Zaczęła teraz Nasta odbywać studja nad wszystkiemi figurami, jakie tylko się znajdowały na świecie jej znanym, a przedewszystkiem nad temi, które dłoń pobożna wzniosła przy gościńcu ze Spasa do Smolnicy. Mało tysiąc razy przebywała tę drogę i zdawało się jej, że wszystkie te figury znała doskonale, a dziś mimo to były nowe dla niej i budziły najżywsze zajęcie.

Były tam rozmaite: od drewnianego krzyża z nagiemi ramionami aż do kamiennych figur i murowanej kapliczki z ołtarzykiem, pełnym papierowych kwiatów i z lampą blaszaną na drucianym łańcuszku. Był tam św. Mikołaj z długą brodą i w wysokiej, bardzo śpiczastej infule, i św. Jan Nepomucen w czarnym graniastym birecie i białej komeżce, i Pan Jezus, siedzący przy drodze, jak zmęczony wędrowiec, z głową opartą na prawej dłoni, jakby się mocno kłopotał losami samborskiego cyrkułu; był trochę dalej, już poza rutą codzienną Nasty, bo aż pod Starą-Solą, św. archanioł Michał z dużemi skrzydłami, z pochyloną głową, patrzący flegmatycznie w paszczę powalonego

---

[11] *sorok* — (z ukr.) czterdzieści.

[12] *djak* — (z greck.) kleryk w kościele wschodnim.

smoka. Miał hełm z szumnemi piórami, ubrany był w pancerz rzymski i rozkroczył szeroko nogi, widocznie, aby zrobić miejsce dla szatana, któremu zwarycz[13] starosolski, Dykij, co wiosnę lakierował język na czerwono, tak, jak znowu kowal Lewandowski przybił wodzowi anielskich zastępów ogromne zębate ostrogi *ex voto*[14] i własnego wyrobu.

Z tych wszystkich figur najlepiej się podobał i najwięcej przemówił do imaginacji Nasty archanioł, bo też stał najbardziej w związku z tem, co słyszała na kazaniu ks. Dzikowskiego. To właśnie to, czego chciała. Jakby to było pięknie, gdyby taki skrzydlaty archanioł stanął z kamienia pod górą Horkawiecką tuż przy gościńcu, w tem samem miejscu, za tą samą kupką żwiru, z poza której, bywało, zawsze wychylało się najpierw duże biczysko, potem szerokie krysy słomianego kapelusza, a wkońcu ciekawe oczy Wasylka.

Nie było co dalej myśleć: św. Michał zwyciężył na konkursie. Tylko gdzie dostać takiego archanioła i co też kosztować będzie? Nie widziała nigdy, aby coś podobnego ktoś robił w okolicy, ani na żadnym jarmarku nie uważała, aby był taki św. Michał na sprzedaż: były obrazki świętych, krzyżyki, medale, kropielnice z wiórów stolarskich, świece ołtarzowe, ale takiego kamiennego anioła, wielkości całego chłopa, nie spotkała nigdzie.

Na szczęście zaszła w Busowiskach bardzo ważna okoliczność, która ułatwiła Naście informację.

Mówiliśmy już, że w Busowiskach nie było cerkwi; dawniejsza stara, do której dojeżdżał co niedziela ksiądz terszowski, spaliła się przed kilku laty, o nowej długo nikt nie myślał. Ale jakoś zeszłego roku, około wiosny, wójt, wróciwszy z kancelarji spaskiej, zakomunikował przysiężnym, że pan „verwalter“ coś wspominał, że gromada musi wystawić nową cerkiew i żeby to sobie wzięła na rozum. Gromada wzięła na rozum, a pierwszy skutek był taki, że chciano obić wójta, dlaczego odrazu nie powiedział, że gromada się tego „nie przyjmuje“, bo będzie zdzierka i z grosza i z roboty. Gromada biedna, a Boga i księdza, kto chce, znajdzie w Terszowie, i w Topolnicy, i w Strzyłkach.

Ale, nim się uśmierzyło jeszcze pierwsze zaniepokojenie, przyjechał nagle ni stąd ni zowąd sam ksiądz dziekan Turczmanowicz ze Strzelbic z księdzem Tarczaninem i djakiem Soroką z Terszowa, a zwoławszy gromadę do wójta na podwórze, zaczął przekładać, że tak bez cerkwi dłużej być nie może, że inne biedniejsze gromady nietylko własną

---

[13] *zwarycz* — robotnik przy warzelniach soli.
[14] *ex voto* — (łac.) jako ofiarę.

cerkiew mają, ale i własnego parocha,[15] że to wstyd i hańba ludzka, a szkoda śmiertelna dla dusz, że on, ksiądz dziekan, przed władyką[16] w Przemyślu oczu podnieść nie może i że władyka bardzo markotny jest na gromadę busowiską, jako najopieszalsza jest z całej jego owczarni i podobna do drzewa suchego, co owoców nie rodzi i spalone będzie.

Słuchała w milczeniu i z wielkim frasunkiem gromada, a słowa o suchem drzewie, co spalone będzie, przeraziły ją bardzo: tamtego roku pogorzało dziesięciu gospodarzy a tego roku czterech — przecież w tem coś i być musi. I niezawodnie coś w tem być musiało, bo, ledwie ksiądz dziekan Turczmanowicz skończył, zaturkotało na drodze i z tumanów kurzu wyłoniła się żółta najtyczanka,[17] a z najtyczanki wysiadł sam p. verwalter Krzepela w czapeczce cesarskiej i z trzema złotemi różami na czerwonym kołnierzu.

Rozstąpiła się gromada z wielkim respektem, a p. Krzepela zaczął także mówić do niej jeszcze głośniej, niż miał zwyczaj, i jeszcze częściej „s e m, s e m“ rzucał między słowa, niż przy innych mniej ważnych okazjach. Co ksiądz tu m l o w i l, to on s e m zupełnie podpisuje i to już tak podpisano i zapieczętowano jest, że gromada budować będzie cerkiew; wszystko mu jedno, czy chce, czy nie chce: on s e m tu przyjechał, aby oznajmić gromadzie, że najjaśniejszy cesarz-kollator[18] pozwolił wydać z lasów kameralnych[19] materjał, a gromada ma dać majstrów i robotę, i aby s e m zaraz wybrała komitet cerkiewny i zabrała się do dzieła.

Nie było rady: sprawa „podpisana i zapieczętowana“, i p. Krzepela nastaje, i władyka nastaje, i ksiądz dziekan nastaje, i — co ułatwiło bardzo przymusową decyzję — materjał z lasów cesarskich będzie... H o d i, będziemy budowali.

Niemieckie przysłowie ma wielką rację, utrzymując, że z konieczności wyrabia się cnota: stwierdziło się to na gromadzie busowiskiej. Za kilka dni po wyklarowaniu się pierwszej konfuzji gromada zaczęła być dumną z wielkiej decyzji, tak, jakby ona wyszła wyłacznie z jej własnego natchnienia i dobrowolnej ofiarności. Sprawa budowy stała się rzeczą publiczną i kwestją honoru całych Busowisk. Znaleźli się nawet ludzie z tak wygórowaną ambicją, że objawiali życzenie, aby

---

[15] *paroch* — proboszcz, pleban unicki.
[16] *władyka* — biskup obrządku wschodniego.
[17] *najtyczanka* — rodzaj bryczki.
[18] *kollator* — dobrodziej kościoła.
[19] *kameralny* — będący własnością kamery, a więc państwa.

cerkiew była murowana, jak w Strzelbicach, aby miała złoconą gałkę z krzyżem, jak w Baczynie, i aby zgodzić Kurzańskiego z Dobromila, żeby ją pomalował we środku. Tylko, że pan Krzepela mówił wyraźnie, że da materjał z lasów, a o cegle nie wspomniał, i ta okoliczność ochłodziła trochę entuzjastów i zredukowała ich monumentalne plany. Będzie cerkiew drewniana, ale niechże będzie dziełem najlepszego majstra, choćby go o dwadzieścia mil sprowadzić. Karchut, co budował cerkiew w Strzyłkach, uczciwy majster, ale nie najlepszy; jest jeden sławny, najsławniejszy na całe Podgórze, od Boryni po Drohobycz: stary Kłymaszko, ten sam, co wystawił cerkiew szlachcie jaworskiej, i w Koble, i w Jasienicy Zamkowej także, a ta ostatnia cerkiew była „drukowana“. Tak jest, była drukowana: jakiś pan ze Lwowa, tak przynajmniej upewniał djak terszowski Soroka, zeszłego roku namalował ją umyślnie i wydrukował.

Ten Kłymaszko to wielki majster jest; cieśla Zubek ze Spasa znał go dobrze, bo pod nim przy fabryce jasienickiej pracował i cuda on o nim busowiskim ludziom opowiadał. Bywało, ludzie przyjdą do Kłymaszki, aby im cerkiew postawił: to Kłymaszko albo chce, albo nie chce, a jak chce, to idzie do „sadoczka“, bo ma sadek wiśniowy koło chaty i tam się kładzie wznak na murawie i ręce założy na krzyż, i tak leży, i w sine niebo patrzy, a kiedy tak patrzy, to jemu przed oczami cerkiew rośnie i rośnie, tram na tramie, belek na belku, wieżyca na wieżycy, szczyt na szczycie aż po sam „chrest“[20] — i tak poleży jaką godzinkę, i już ma, i powiada ludziom, że cerkiew jest. A potem bierze lubrykę[21] i pisze kreskę na kresce, i tak popisze chwilę, i ot, cała cerkiew napisana. Tylko to bieda jest z Kłymaszką, że jego budowa jest bardzo „pożarliwa“, to jest, że dużo materjału żre, że i ani nastarczyć, a zawsze musi być co najprzedniejszy. Bo Kłymaszko już taki, że ma bardzo wielkie oko, a jak widzi jaki odwieczny las duży, to mówi: „Ładny las, jakaby cerkiew z niego!“ Jak Strzelbiczanie budowali cerkiew, trzy lata temu, pojechał do Kłymaszki, do Spryni cały komitet cerkiewny, już z tym papierem, na którym p. Berski z Sambora napisał był całą cerkiew, aby mu pokazać i jeszcze się poradzić, a on z nimi i gadać nie chciał.

— Kiedy murujecie, to murujcie, a ja nie murarz, ja po staremu tak: kiedy cerkiew chłopska, to z drzewa, bo to materjał Bogu miły. Szumi las, szumi, jakoby do Boga gadał i do człowieka, i zielenieje, i pachnie, i ptaszki w jego liściach śpiewają — to jest materjał na święty

---

[20] *chrest* — (z ukr.) krzyż.

[21] *lubryka* — ochra, czerwona kreda, używana do pisania i rysowania.

chram[22], ale cegła, to pieczone błoto i koniec. Murujcie sobie, murujcie zdrowi!

Takie i tym podobne historje opowiadał Zubek, a komitet cerkiewny uchwalił jednogłośnie wysłać deputację do Kłymaszki. Siedli na wózki i pojechali do Spryni, a jeszcze, jak ruszali, nakazywano im, aby uprosili Kłymaszkę, żeby nowa cerkiew busowiska była koniecznie taka jak ta „drukowana“. Nazajutrz Kłymaszko przyjechał, choć zgóry zapowiedział, że sam budować nie będzie, bo już stary i bardzo niedomaga, ale zięć jego u niego się uczył, Kłymaszko mu powie, jak ma robić, a będzie dobrze. Sam przyjechał tylko poto, aby grunt opatrzyć i miarę dobrze wziąć, bo na mierze wszystko stoi — bez dobrej miary nic dobrego na świecie.

Przyjazd Kłymaszki poruszył wieś całą. Pewnie lud florencki nie patrzył z większem zajęciem na Giotta, który piętrzył ku niebu kampanillę, ani na Brunelleschi'ego, kiedy rozpinał gigantyczną kopułę nad kościołem Madonny *del Fior*. Kłymaszko już był staruszek; nosił się trochę z waszecia: miał sierakową kapotę z potrzebami i buty zamiast zwykłych w okolicy chodaków, ale postrzygał wąsy i nosił długie włosy, które, spływając białą, jak mleko strugą z pod czarnego góralskiego kapelusza z podgiętemi do góry kresami, nadawały mu coś bardzo czcigodnego, patriarchalnego. Był maleńki człowieczek, chudy, jak trzaska, z drobną twarzą, zawsze jakby zlekka i filuternie uśmiechniętą, w której uderzały duże niebieskie oczy.

Miejsce, na którem stała dawna spalona cerkiewka, okazało się najlepszem; był to dość duży plac, gładki, jak płyta, położony wyżej od sioła i otoczony dokoła odwiecznemi lipami. Kłymaszko mierzył długo sznurami, zapisywał sobie lubryką, pozabijał kołki w różnych punktach gruntu i nie kazał ich ruszać. Dał wójtowi Senyszynowi instrukcję, jaki ma być materjał, a poczęstowany, odjechał.

Od tej chwili zaczęła się w Busowiskach „fabryka“. Plac pusty, wytyczony kołkami, otrzymał tę nazwę, którą niebawem każde dziecko powtarzało z uroczystą powagą. Odtąd nie było nikogo w Busowiskach, ktoby choć raz na dzień nie szedł patrzeć na „fabrykę“, choć zawsze zastawał ten sam plac goły i te same kołki nietykalne, jakby były święte. O każdej godzinie prawie można było spotkać kilka bab i chłopów, pierwszych z podpartemi brodami, drugich z cybuszkami w zębach, jak stali przy kołkach i patrzyli na „fabrykę“, aż zdziwione i znudzone gęsi, które tu przychodziły na trawę, wynieść się musiały na inne samotniejsze miejsce.

---

[22] *chram* — (z ukr.) świątynia.

Ale już w kilka miesięcy później „fabryka“ przestała być honorowym tylko tytułem gruntu między lipami. Rozlegały się na nim echa toporów ciesielskich, i zgrzyt pił, i nawoływania furmanów, co zwozili materjał. Teraz Nasta mogła rozmówić się na fabryce z majstrami i dowiedzieć się, czego jej było potrzeba. Tak odniechcenia zrobiła jednemu z cieśli uwagę, że to pewnie ciężko tak równiutko i gładko ociosać grubą kłodę.

— Pewnie, że ciężko, a jakby nie ciężko!

— Ale kamień to jeszcze ciężej?

— A wy jak chcieli?

I tak dalej, słowo po słowie, Nasta dowiedziała się, że są cieśle i od kamienia, co kują figury całe, i że jeden taki jest w Samborze.

Nazajutrz Nasta, wróciwszy z poczty, nawet nie wytchnęła, tylko zawróciła tą samą drogą do Sambora. Trzy mile tam, trzy mile nazad, ale jakoś to będzie ... w nocy powróci. Był właśnie czwartek, a to targowy dzień w Samborze, więc i ludzie z Busowisk tam będą, i z Terszowa, i ze Spasa — będzie babie śmielej w takiem wielkiem mieście, a zpowrotem może ją kto i podwiezie. Nasta nie była jeszcze w Samborze i, jak żyje, takiego dużego miasta nie widziała; Stare-Miasto pewnie ładne, a gdzie jemu do Sambora! W Samborze taki rynek duży, cały kamieniem wykładany, i ratusz z wysoką wieżą, a na wieży zegar, a nad zegarem złoty jeleń z dużemi rogami świeci w słońcu i z wiatrem się kręci, a co godzina wychodzi na wieżę trębacz, i chodzi dokoła, i na cztery rogi świata trąbi — i murowane podcienia, pełne kramów, że dostaniesz tam wszystkiego, czego dusza zapragnie, i wielkie białe kościoły z czerwonemi dachami, a narodu ze wszystkich stron świata z towarem i po towar moc wielka.

Pokazali Naście, gdzie jest trakt drohobycki, bo na tym trakcie za cmentarzem siedział kamieniarz. Zebrała Nasta wszystką śmiałość i wszystek rozum do kupy, całą swoją inteligencję mocno ścisnęła jakby w jeden węzełek i z pukającem sercem weszła na podwórze, na którem dwaj robotnicy w fartuchach, osypani białym pyłem, jakby z młyna wyszli, ciągle stukali młotkami o dłótka, a za każdym takim stukiem pryskały okruchy kamienia na ziemię. Choć miała na głowie bielutką chustkę i ubrana była w świąteczną zapaskę malowaną, a nawet od wielu lat po raz pierwszy szklane paciorki włożyła na szyję, wzięto ją za żebraczkę i kazano iść z Bogiem, ale Nasta nie dała się odprawić.

Najtrudniej było o pierwsze słowo, ale, jak już raz padło szczęśliwie, mówiła bardzo głośno a szybko, jakby pacierz, wszystko odrazu: przyszła tu po figurę; powiadano jej, że tu siedzi majster od figury ze skrzydłami, a ona chce z kamienia; ma być figura z kamienia, z

twardego, białego kamienia, duża, jak cały chłop, co ma skrzydła i pióra na głowie; ten kamień ma mieć dwa skrzydła, a na głowie mają być pióra i szabla także, taka, jak starosolski kamień, co stoi pod rogatką zaraz koło szewca Sygierycza, a on jest archangeł[23] — nazywa się Michał i stoi pod daszkiem, tylko że jest popsuty i trzebaby go połatać.

Kamieniarz przestał pukać młotkiem i wpatrzył się w Nastę, z której słów wypływać się zdawało, że Sygierycz nietylko jest szewcem, ale i archaniołem w Starej-Soli, że stoi pod daszkiem i nazywa się Michał.

— Jaki Michał Sygierycz? On tu nic nie zamówił — pomyślał kamieniarz, ale przecież zorjentował się w tem bałamuctwie. — To ma być figura Michała archanioła? Taka, jak pod Starą-Solą? Znam, znam. A dla kogo?

— Dla mnie — odpowiedziała nieśmiało Nasta.

— Dla was? To wy sama jesteście fundatorka?

Naście wytrysnął ciemny rumieniec na twarz wybiedzoną, a serce zadrżało od wzruszenia i szczęścia.

— A macie na to pieniądze?

— Nasta skinęła głową.

— A wiecie, jak się płaci taki św. Michał?

— Nie wiem.

— A ma to być z fundamentem?

Nasta nie wiedziała, co to jest fundament, ale niech będzie z fundamentem.

— To będzie akurat sto reńskich — zakonkludował majster.

— Sto reńskich!!

Naście zaczęło okrutnie szumieć w uszach i głowa jej się zakręciła. Miała uczucie człowieka, co, wydrapawszy się nadludzkiem wysileniem na szczyt wysoki, ledwie na nim postawił stopę, a już zleciał w przepaść bezdenną. Tak leciała z tej idealnej wysokości, na której widziała się przez jedną krótką chwilę, wtedy, kiedy majster nazwał ją fundatorką. To fatalne słówko „sto" padło na nią, jak urwana skała, i pociągnęło za sobą wdół z samego szczytu apoteozy. Leciała i leciała z wielkim zawrotem głowy, leciała na dół, w otchłań, w nicość, w kurz i błoto tego gościńca, po którym, jak stary, siwy koń w Jolkowym kieracie, biegała codziennie ze Spasa do Smolnicy, ze Smolnicy do Spasa, rachując w drodze, ile już ma pieniędzy!

Sto reńskich!

---

[23] *archangel* — (z ukr.) archanioł.

Nasta pewnie nie umiała liczyć do stu; nie próbowała tego nigdy — i nacoby jej ten zbytek arytmetycznej wiedzy: w imaginacji nawet nie zapuszczała się tak daleko, bo to — była cyfra fantastyczna, która przenosiła siłę jej imaginacji. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, s o - r o k, kopa — i koniec. A już najwyżej kopa, bo tak rachują snopy, tak się sprzedaje jaja i tyle idzie grajcarów na jeden srebrny reński.

Stała chwilę dobrą, jak słup, nie wiedząc, jak wyjść z takiej sytuacji. Nareszcie przyszła jej myśl zbawcza, że najlepiej będzie, kiedy ucieknie. Zwróciła się też i poczęła uciekać, ale uciekać naprawdę, bieżąc co tchu, jakby coś ukradła, tak, że kamieniarz z osłupieniem spostrzegł, że mu baba nagle zniknęła z oczu. Ruszył tylko ramionami, a Nasta uciekała dalej i opamiętała się dopiero za rogatką, na przemyskim trakcie.

Co wtedy czuła i myślała, a właściwie, co czuła, z tego oczywiście sprawy zdaćby nie była mogła. Czuła się nieszczęśliwą, ale nieszczęśliwą nie bez własnej winy. W uczuciu tem nie było żalu nad własną niemocą, który już sam przez się jest pewnem ukojeniem: było w niem coś z piekącej świadomości zasłużonego upokorzenia. Gdyby Nasta była zdolną do refleksji, byłaby sobie powiedziała, że nie jest bez winy, że w słabości ludzkiej odbiegła od pierwotnego marzenia matki i że, nie wiedzieć jak i kiedy, do czystego uczucia ofiary przyłączyło się coś z egoizmu i pychy, że obok matki stanęła „fundatorka". Ale teraz fundatorka była upokorzona, zdeptana, a została tylko matka i ta wstydziła się bardzo.

Po tem pierwszem przygnębiającem uczuciu Nasta zaczęła przychodzić do równowagi, do rzewnej, spokojnej rezygnacji. Głupia była i koniec — przed ludźmi na chwilę nie mogłaby uchodzić za co innego, jak tylko za nędzną zarobnicę, a przed Bogiem chciałą udawać bogaczkę. Kogo tu durzyć — niby Pan Bóg nie wie, co jest Kuniczka, co fundowała murowaną kaplicę, a co Nasta pocztarka! Już teraz wie, jak zrobi. Malowanie tańsze, niż kamień: jak będzie malowana blacha z Matką Boską, przybita do starego jesionu, co stoi właśnie pod Horkawiecką górą przy drodze, i jak się da daszek nad malowaniem, aby nie zamakało, będzie dobrze. Tak widziała na polach staromiejskich... ale trzeba rozpytać się dobrze, wiedzieć, co to kosztuje, a dopiero potem iść do malarza, tym razem już na pewno, bez zuchwalstwa i bez obawy.

Szczęśliwy zbieg okoliczności utwierdził Nastę w tej myśli, której obiecywał nadspodziewane urzeczywistnienie.

III

W Spasie bywa każdego lata dużo gości; jedni przybywają dla żętycy, drudzy dla górskiego powietrza, nasyconego żywicznym aromatem wielkich lasów szpilkowych, które otaczają tę wdzięczną miejscowość, rozłożoną malowniczo u stóp sinych wzgórz karpackich. Gdzie indziej uroczy taki zakątek zasłynąłby prędko jako stacja kuracyjna, jako *villegiatura*[24] dla nerwowych osób, szukających powietrza, zieleni, słońca, ciszy i balsamicznego tchnienia borów. Tego roku Spas był ludniejszy, niż zwykle, jak wogóle bywał zawsze ludniejszy dawnemi laty, dopóki koleje nie ułatwiły mieszkańcom Lwowa przystępu do wysokich Karpat i nie zbliżyły Tatr wspaniałych. Najliczniejszego kontyngensu dostarczali wyprawdzie żydzi lwowscy, ale zbierało się czasem i lepsze towarzystwo, a tym razem było kilka osób dystyngowanych naprawdę. Dla Nasty pocztarki sezon letni w Spasie bywał porą złotego żniwa: biednej kobiecie, przynoszącej upragnioną pocztę, dostawały się gęsto miedziaki, a niekiedy i biała moneta wpadła do czarnej, chudej dłoni „fundatorki". Znała też wszystkich, ale między wszystkimi najbardziej jej imponowała jedna pani, a najbardziej zaintrygował jeden młody pan.

Ta pani to była hrabina, prawdziwa, rzetelna hrabina, co chodziła zawsze z laską o złotej gałce i z „popielatą panną". Żętycy nie piła i pewnie jej pić nie potrzebowała, bo była rumiana i czerstwa, jak samo zdrowie. Cały Spas z najwyższą swą hierarchją społeczną, t. j. panem Krzepelą, panią Krzepelową i pannami Krzepelankami, dumny był, że wśród swoich czarnych świerków posiadał hrabinę, królowę sezonu i ilustrację „k u r l i s t y".[25] Hrabina była bardzo niska i otyła, powiedziećby można, cała okrąglutka, ale biegała, jak

---

[24] *villegiatura* — (z włosk.) odpoczynek letni na wsi.

[25] *kurlista* — (z niem.) spis kuracjuszów, bawiących w danej miejscowości.

tłusta przepiórka po całym Spasie, a zawsze z trzciną o złotej gałce w białej i pulchnej dłoni. Miała na skroniach bujne pukle włosów, białe i puszyste, jak gołębie, twarz bardzo rumianą i czarne, jak węgle, bystre i uśmiechnięte oczy. Za hrabiną chodziła zawsze, jak cień, wysoka, chuda, niemłoda już kobieta, zawsze popielato ubrana, z bardzo znudzoną twarzą i zawsze ukradkiem ziewająca. I to była owa „popielata panna", po trzcinie ze złotą gałką drugi nieodłączny atrybut hrabiny.

Tyleż, co hrabina, może nawet więcej, a dlaczego, zobaczymy później, zajmował Nastę ów młody pan, co albo samotny chadzał, albo tylko z hrabiną. Tylko, że nie mógł nigdy dotrzymać jej kroku, i zawsze przystawał, i ciężko oddychał, jakby mu było potrzeba dużo, dużo powietrza i jakby mu ono zawsze uciekało; chciał go moc zaczerpnąć, a nie miał czem, wyraźnie, jakby kto sitem brał wodę.

Ten pan kiedy chce wyjść na „ślimak", a tak się nazywał pagórek, obrosły jodłami, na którym p. Krzepela porobił chodniki, to na każdej ławeczce odpoczywa, a kiedy nareszcie dostanie się na sam wierzchołek, to już siedzi i siedzi, jakby chciał nocować. Patrzy na góry i pisze coś na dużym papierze; jak się zmęczy, czyta z książki, a jak i tego mu dosyć, to siedzi z napół przywartemi powiekami i bardzo jest smutny. Takby tam siedział samotnie, gdyby nie hrabina, która kilka razy na dzień drobnym, żwawym krokiem pnie się na górę, siada koło niego, odsapnie i zaczyna gadać. Gada i gada tak długo, aż nareszcie i on gadać zacznie, i tak gadają z sobą żywo, a on, jakby go odmieniło, i śmieje się, i żartuje, dopóki się nie zakaszle, i ma wtedy jeszcze bardziej błyszczące oczy, niż zawsze, a trzeba wiedzieć, że zawsze się bardzo błyszczą, a takie są duże i takie sine mają obrączki, że zdawałoby się, że codzień rosną i że twarz jedzą. Nasta byłaby przysięgała, że u tego pana z każdym dniem oczy większe i że czarna broda także większa, a twarz maleje i niknie, aż źle patrzeć.

Raz, kiedy Nasta zanosiła hrabinie list do altany na ślimaku, widziała już zdaleka, jak hrabina coś bardzo prawiła panu Zygmuntowi, położywszy mu rękę na ramieniu, a pan Zygmunt płakał, jak dziecko, skrywszy twarz w dłonie, takie białe i cienkie, jak opłatki. Hrabina wzięła list od Nasty, popatrzyła na adres i rzekła krótko:

— Od Walentyny — a pan Zygmunt na to słowo wyprostował się, podniósł oczy, a były już suche i jakby bardzo gorące, i wstał prędko z ławki, jakby chciał uciekać. Ale został i czekał i, kiedy hrabina list czytała, patrzał ciągle na nią takiemi oczyma, jakby o coś prosiły

i pytały, czy tam czego niema i dla niego. Ale widno nic tam dla niego nie było, bo hrabina list ścisnęła w dłoni, aż papier zaskrzypiał, i zmięty schowała prędko do kieszeni, a potem zaczęła trzciną o złotej gałce kopać piasek.

Innym razem pan Zygmunt znowu siedział na ślimaku, a Nasta miała właśnie list do niego, co rzadka była rzecz, bo prawie nigdy listów nie odbierał. Znalazła go na samym krańcu od południa, tam, skąd widać Dniestr, jak się błyszczy między siołami i górami, wygrzewając się na słońcu, jak leniwy wąż, i wszystkie wzgórza, najpierw zielone, a dalej sine, a coraz dalej jeszcze więcej sine, aż wkońcu prawie czarne, tylko że przecież nie smutne, bo na tem wszystkiem jakiś złoty blask leżał, że zdawało się jakby słonko roztopiło się w powietrzu, tak, że cały świat był złoty, a znowu i nie złoty, bo taki widny, taki czysty, taki przeźroczy, że ostatni Beskid garbaty było widać daleko, aż pod Węgierszczyzną, tylko trochę już niewyraźnie, tak, jak kamień na dnie bardzo głębokiej krynicy.

Pan Zygmunt siedział przed tablicą na trzech cienkich nogach, jakiej Nasta jeszcze w życiu nie widziała, i jakby po niej pisał, a co chwila zapuszczał oczy w roztaczającą się wdal okolicę. Nasta zawahała się, nie chciała przeszkadzać, ale list trzeba było oddać, więc zbliżyła się do Zygmunta, który nie słyszał ruchu bosych stóp na murawie. Wtedy Nasta spostrzegła, że na tablicy był taki sam błękit, jak na niebie, takie same góry sine, jak te, co piętrzyły się w dali, taki sam Dniestr, zakręcony pod staromiejskiemi tamami, że na samym dole wyrósł na białym papierze taki sam świerk ciemny, jak ten, co stoi przy chacie Zabereżnego, i że była tam także Zabereżnego chata — zgoła, że ten cały duży kawał świata, począwszy od najbliższej strzechy aż do garbatego Beskidu, znalazł się na tym małym papierze, takim małym, że stary słomiany kapelusz Wasylka byłby to wszystko zakrył: i drzewa, i sioła i góry, i Zabereżnego chatę.

Nasta na ten cud chwyciła się obiema rękami za głowę takim gwałtownym ruchem, że p. Zygmunt posłyszał ją za sobą i odwrócił się żywo. Nasta cofnęła się i, wydobywszy szybko list, trzymała go wysuniętą naprzód ręką, jak tarczę między sobą a malarzem, bojąc się, że go rozgniewała. Pan Zygmunt uśmiechnął się łagodnie, wziął list i skinął jej głową. Ale Nasta nie odeszła: taka chwila po raz drugi pewnie się jej nie zdarzy, jak z niej nie skorzysta zaraz, to później przepadło. Pan Zygmunt wydobył kilka miedziaków, ale Nasta cofnęła się jeszcze dalej, złożyła obie dłonie, jak do modlitwy, i z wyrazem błagalnym patrzyła ciągle na artystę. Potem przystąpiła

nagle i, ucałowawszy mu mimo oporu nogi, prosiła, aby się nie gniewał, bo ma do niego prośbę.

Naście zawsze najtrudniej było o pierwsze słowo, ale skoro już raz padło, a na twarzy p. Zygmunta nie było widać zniecierpliwienia, nabrała odwagi. Równie bezładnie, ale już trochę zrozumialej, niż w onej rozmowie z kamieniarzem w Samborze, starała się wytłumaczyć, o co jej chodzi. Chciałaby mieć obraz na blasze, Najświętszą Pannę, choćby niedużą, ot, choćby taką tylko, jak ten papier, i aby ta Matka Boska była z daszkiem i mogła być przybita do pnia starego jesiona, co rośnie przy drodze pod Horkawiecką górą. Ona nie chce za darmo, broń Boże, gdzieżby śmiała! Da wszystko, co ma, byle miała taki obraz.

I mówiąc ciągle, odgarnęła koszulę i wydobyła woreczek płócienny, uwiązany na szyi, jak szkaplerz, i poczęła rozkręcać sznurek, a był pewnie kilkadziesiąt razy okręcony i ręce jej ciągle się plątały, że ani rusz dostać się do skarbu. Pan Zygmunt przerwał jej tę robotę. Kazał jej schować woreczek i zapytał, dlaczego chce mieć taki obrazek i czy ślub jaki uczyniła, że chce oddać wszystek grosz, tak ciężko oszczędzony? Ośmielona Nasta rozgadała się teraz o wszystkiem: o Wasylku, o ks. Dzikowskim, o cherubinach, o św. Michale pod Starą-Solą, o przygodzie z kamieniarzem. Artysta wysłuchał chaotycznej opowieści cierpliwie, chwilkę milczał, jakby się wahał i rozmyślał, a nareszcie rzekł:

— Ja wam namaluję Matkę Boską i nic was to kosztować nie będzie, moja dobra kobieto. Ale obraz nie będzie na blasze i nie będzie można go przybić do jesionu. Jeżeli chcecie, namaluję wam Matkę Boską, taką, abyście ją ofiarować mogli do cerkwi. Czy macie cerkiew w Busowiskach?

Nasta zamyśliła się. Żal jej trochę było odstąpić od pierwszej myśli, z którą lata całe się nosiła. Ale taki pan lepiej wie i pewnie lepiej radzi... taki pan i jeszcze malarz do tego. W Busowiskach buduje się właśnie cerkiew, niedługo będzie gotowa; trzeba będzie koniecznie świętych obrazów, a już teraz mowa o tem, aby co znaczniejsi gospodarze fundowali do cerkwi: ten ołtarz, drugi kielich, trzeci światło i inne rozmaite rzeczy. Czemużby jej obraz nie mógł zostać w cerkwi? Nawet lepiej mu będzie: deszcz go nie spłucze, wiatr nie wypije, słońce nie przepali — trwać będzie długo, w dalekie czasy, kiedy już Nasty nie będzie na świecie. I znowu Nasta zwinęła się we dwoje i ucałować chciała nogi artysty, a w oczach błyszczały jej łzy radości.

Pan Zygmunt nie był malarzem z zawodu i obraz dla Nasty był pewnie pierwszym, który miał robić na zamówienie. Dyletant był tylko, ale bogaty w to, czego nie mogą dać studja akademickie ani rutyna zawodu: w talent prawdziwie dostojny i ów szczególny dar organizacyj rasowo-artystycznych, które zmysł piękna tak dalece rozwinęły w sobie, że czują i myślą plastycznie formą i barwą, a genjusz i natchnienie stają się u nich darem niemal fizycznym, że już niewiadomo, gdzie leży źródło tej łatwości wydobywania pierwiastków idealnych ze wszelkich zjawisk zewnętrznego świata — w oku, co je podpatrzyło, czy też w poduszeczkach palców co je przeniosły na płótno?

Pan Zygmunt talentu swego nigdy nie cenił, uważał go tylko za towarzysza dobrego w chwilach wyjątkowych, zawsze czekającego gdzieś w przedpokoju i gotowego na zawołanie — i niepomału był zdziwiony, spostrzegłszy, że wszyscy inni towarzysze, których daleko wyżej cenił, na których daleko więcej liczył, odstąpili go naraz i pozostał mu tylko jeden z szarego końca, zaniedbany i niemal wzgardzony.

Czy to prośba Nasty umiała tak trafić do serca dobrego człowieka, czy sama myśl stworzenia Madonny dla górskiej cierkiewki podobała się tak artyście, czy też może — i tak było najpewniej — i człowiek i artysta zarazem miał tak wezbraną duszę i tak podniecą imaginację, że potrzebował folgi i chciał niejako wyjść z samego siebie — dość, że p. Zygmunt natychmiast wziął się do pracy i coraz rzadziej wychodził na przechadzkę, ku wielkiemu niezadowoleniu hrabiny, która strofowała go za to, częścią z egoizmu, bo lubiła bardzo jego towarzystwo, ale więcej bez wątpienia z poczciwej troski o chorego, który potrzebował powietrza i słońca i po to przecież tu przyjechał.

Pan Zygmunt wymawiał się, przepraszał, obiecywał poprawę, ale prawdy nie powiedział: całe dni spędzał przy sztalugach, pracując bez rachuby sił i czasu, nerwami, podnieconym temperamentem, w niecierpliwem pożądaniu końca, bo nie znał potęgi statecznej, choćby powolnej pracy, którą prawdziwy artysta reguluje siłą woli, obowiązku, przyzwyczajenia, może nawet tylko tą uczciwą rutyną rzemeślnika, której w sztuce lekceważyć nie należy, bo obok genjuszu w niej to leży sekret twórczości podziwianych mistrzów.

Szybko wyłaniał się obraz z płótna, tem szybciej, że artysta nie zamierzał wcale nadać mu troskliwego wykończenia, lecz, przeciwnie, chciał go utrzymać w charakterze szybkiej improwizacji, śmiałego

szkicu. Widać to było odrazu, że autor pracował bez modeli, szczęśliwą pamięcią tylko i intuicją formy, że nie liczył się zbytecznie z trudnościami techniki, ale zanadto był uczciwy, aby je całkiem wymijać — przeciwnie, akcentował je wyraźnie, nadając w najtrudniejszych miejscach rysunkowi szkicowość, która świadczyła tylko o pośpiechu, ale bynajmniej nie o braku sił i środków.

Ale obraz był piękny, kompozycja wdzięczna i oryginalna. Była to Matka Boska Żniwiarka. Jak słynna *Madonna del Sacco* Andrzeja del Sarto na worze mąki, tak na obrazie Zygmunta Najświętsza Panna siedziała na snopie zboża, jakby dopiero co odrzuciła sierp, co leżał u jej stóp, i odpocząć chciała po znoju. Przed nią także na rozrzuconym snopie leżało Dziecię Jezus i sięgało dłonią po wiązankę bławatków, które mu Najświętsza Matka podawała z uśmiechem, pełnym czułości i słodkiego uroku. Madonna ubrana była w strój ruskiej wieśniaczki z okolicy, w której obraz miał pozostać. Miała na sobie zapaskę dymkową, mereżkowe wyszywki na ramionach i sznur dużych korali na szyi; artysta opuścił tylko niedość malownicze nakrycie głowy, którą przedstawił odkrytą, i ułożył w grube warkocze włosy, nadając im ciepły, złoty kolor, owo *caldo biondo* Tycjanowskie, które spływało się miękko z aureolą, otaczającą głowę, tak, jakby własnym blaskiem tworzyło nadziemską światłość glorji.

„Malowanka" Madonny — wieśniaczki odstępowała także od używanego w okolicy koloru: wzorkowi jej tła nadał artysta szlachetniejszą stylizację na tle złagodzonej w tonie purpury. Szarość twardą zgrzebnej wieśniaczej koszuli zrównoważył artysta, rzucając przez ramiona rodzaj błękitnej draperji. sutej i w fałdach poważnych spływającej poza całą postać, niby znamię królewskści Boskiej żniwiarki. Grupie utworzonej przez Madonnę i Dziecię, służył za tło krajobraz miejscowy, daleki, pełny powietrza, zamknięty łańcuchem ciemnych gór, pod których najbliższą kondygnacją widniało sioło z bardzo oryginalną drewnianą cerkiewką.

Twarz Madonny była najbardziej wykończoną partją obrazu i uderzała pięknością i harmonją rysów, ale harmonja była bardziej zmysłowa, niż Boska. Zdawało ci się, żeś koniecznie twarz tę widział na ziemi, albo że ją gdzieś obaczyć możesz, nie tak doskonałej może piękności, ale bardzo podobną. Czuło się mimowolnie, że to portret żyjącej kobiety, oswobodzony z wszystkiego, co w niem mogło być przypadkowem uchybieniem przeciw pięknu, wyidealizowany, podniesiony do apoteozy bardziej imaginacją poety i kochanka, niż religijnem natchnieniem, i dlatego nie wolny od resztek ziemskości. Ale

że każdy zachwyt, choćby tylko ziemskich początków, dlatego właśnie, że jest uniesieniem serca i duszy, zdobywa się na jakąś mistyczną transfigurację wrażeń i wspomnień materjalnych, więc Madonna Zygmunta, jakkolwiek pozostało w niej tyle nieprzetrawionych czcią religijną wspomnień modelu, miała zawsze dosyć światłości i ducha, dosyć dostojnego spokoju i pogody, aby pozostać dziełem pietyzmu, natchnionem tęsknotami niepospolitego serca. Widz zwykły, dla którego obraz jest źródłem wrażeń a nie refleksyj, musiał się koniecznie zachwycić tem płótnem, pełnem sielskiego wdzięku i światła, które płynęło do oka z błękitu nieba, z refleksów nad lasami, ze złotego łanu zboża i z samego oblicza Madonny.

IV

Podczas gdy obraz Nasty fundatorki czekał już tylko na ramy, nowa cerkiew busowiska, dla której był przeznaczony, stanęła już gotowa. Kłymaszko słowa dotrzymał: choć sam nie mógł być ciągle przy fabryce, cerkiew, zbudowana według jego planu, była śliczna. Wyglądała u dołu, jakby przysiadła do podlotu; zdawało się, że, gdyby nie te potężne kłody, które ją trzymały na ziemi, poczęłaby wzbijać się w błękit, jak balon. U dołu fundamentalnie rozparta, potężnemi narożami kłód stuletnich, jak warownym zasiekiem, ujęta, ledwie naturalną rustyką poprzecznych balów dosięgła wysokości belek gzemsowych, energicznie profilowanych według rysunku Kłymaszki, ledwie wiotkiem wiązaniem galeryjki, która zdaleka wyglądała, jak koronka, zetknęła się z pierwszym okapem, już zaczęła się wzbijać lotnie, ale nie strzelisto, bo to było jej charakterystyką, że rosła wgórę warstwami, w horyzontalnych kondygnacjach. Rozłożysta w dolnym obrębie, jakby chciała objąć jak najwięcej pobożnego ludu i okryć go niby cieniem rozsochatej lipy, wzbijała się rytmicznie, wzbijała, a nie wzlatywała odrazu, bo rosła niejako z przestankami, zatrzymując się pod okapem każdego daszku, jakby spoczywała horyzontalną, spokojną linją, i potem znowu podlatywała wyżej od kondygnacji do kondygnacji, od daszku do daszku, aż po sam szczyt kopuły, tak, że przypominała ruch ptaka o szerokich skrzydłach, fruwającego z gałęzi na gałąź, coraz wyżej i wyżej.

Takie były wszystkie cerkwie Kłymaszki: artykulacją swoją wyobrażały ruch przerywany, ale stateczny, a objęte okiem całe, robiły wrażenie takiej lekkości i lotności, że zdawałoby się, że dość podważyć tylko węgły budowy, aby zaczęły płynąć ku górze, jakby korabie cudowne, chwytając powietrze rozpiętemi namiotami okapów i daszków, jakby żaglami.

Gromada busowiska, która, jak wiemy, tylko pod naciskiem zdecydowała się na budowę nowej cerkwi, w miarę jak roboty postępowały, zapalała się coraz bardziej do dzieła, a obudzona ambicja lokalna podniecała ją do ofiarności, o której przed rokiem pewnie aniby sobie

była mówić dała. Cerkiew już jest, tak samo ładna, a może jeszcze i ładniejsza, niż ta, co była drukowana — ale to połowa dopiero dzieła. Z dawnej spalonej cerkwi prawie żaden sprzęt nie ocalał — potrzeba było wszystko sprawiać na nowo. Komitet cerkiewny opuścił ręce na myśl tak wielkich kosztów — uchwalono jednak udać się z pokorną supliką do starego cesarza w Pradze, który tak hojnie wspiera ubogie świątynie Pańskie. Suplika odniosła dobry skutek: cesarz Ferdynand przysłał na ręce samborskiego cyrkułu dwieście złotych. Było już czem rozpocząć, a co najważniejsza, przybyła otucha, która dobrze podziałała na ofiarność gminy i najzamożniejszych jej członków, bo dać to ciężko, dodać zawsze łatwiej. Ten ofiarował się fundować ołtarz, ów jeden dzwon, trzeci światło, ale że to było wszystko ustnie i mogło być odwołane, więc uchwalono oznaczyć dzień i zaprosić księdza parocha z Terszowa, aby na uroczystem posiedzeniu „każdy się na to podpisał". Przedtem już jednak, zaraz po otrzymaniu monarszego daru, uchwalił komitet postarać się o malarza, któryby wszystko malował: i to, co gromada jako gromada ma płacić, i to, co prywatnym sumptem będzie zamówione, bo malarz taniej zrobi, jak na hurt weźmie robotę, a i bałamuctwa nie będzie.

Chodziło teraz o wybór malarza. Strzelbicką cerkiew malował Jabłoński ze Lwowa, ale to majster daleki i drogi ... trzeba szukać innego. Na to zabrał głos terszowski djak Soroka i oświadczył, że choćby ten Jabłoński mieszkał tu, w samych Busowiskach, i chciał malować darmo, to onby na to nigdy nie zezwolił, bo to jest łaciński malarz i nie zna się na ikonach ruskich. Busowiska potrzebują koniecznie, aby to był malarz taki, co umie robić „po grecku, bazantyckim sposobem". On takiego malarza zna i bardzo go gromadzie rekomenduje; nazywa się Kurzański i mieszka pod Dobromilem. Jest to doskonały majster, co nietylko maluje, ale i złocić umie, a wszystko na „bazantycki" sposób. On się uczył także u ojca Mitrofana w bazyljańskim klasztorze w Ławrowie, a to już dość powiedzieć i więcej gadać — „szkoda pary". Djak Soroka nie dlatego tak mówił, że Kurzański jest jego szwagier: on jest duchowna osoba i szwagier u niego za nic stoi, gdzie chodzi o chwałę Bożą — zresztą kto ma oczy, ten zobaczy. Kurzański już mnóstwo cerkwi malował, ale wszystkie na Podolu, bo tam lud bogaty; ale dwa jego wielkie dzieła istnieją w pobliżu i mogą być w każdej chwili oglądane, a mianowicie „Przypowieść o gorczycy" w cerkwi szumińskiej i „japoteczny szyld" w Starem-Mieście.

Komitet cerkiewny wysłuchał z wielką uwagą prelekcji Soroki o mistrzu dobromilskim i większość już po cichu przeważyła się na

stronę Kurzańskiego, twórcy „Przypowieści o gorczycy“ i „japotecznego szyldu“.

Byli jednak i tacy, co chcieli widzieć te dwa wielkie dzieła, skoro są tak blisko, nim przyjdzie do ostatecznej decyzji, ale że wszystkim trudno się było wybrać do Szuminy, więc wybrano ściślejszy komitet artystyczny, do którego oprócz Soroki weszli wójt Senyszyn, przysiężny Ilko i stary Makohon, co niegdyś obsługiwał spaloną cerkiew busowiską, a teraz był niejako pałamarzem[26] *in partibus infidelium.*[27]

„Japoteczny szyld“ odniósł w opinji estetycznej Busowisk stanowczy tryumf. Nietylko komitet artystyczny go oglądał, ale połowa wsi w najbliższy wtorek, który jest dniem targowym w Starem-Mieście, oblegała to arcydzieło na drzwiach apteki, aż się panu aptekarzowi sprzykrzyło, tak, że wysłał laboranta do rozpędzenia admirującej rzeszy. Eskulap z różową łysiną, jak kolano i z kosmatą brodą, i skręcony w sztuczny węzeł niebieski wąż żółto-plamisty, z czerwoną strzałą zamiast języka, wywoływał szmer podziwu, a nawet sam urlopnik Pyłypko, który w Busowiskach reprezentował ducha opozycji i bezwzględnej krytyki, nie mógł nie przyznać, że to jest „fajne malowanie“.

Szumina leżała o całą milę dalej i już tylko sam komitet artystyczny poszedł oglądać drugie arcydzieło Kurzańskiego: „Przypowieść o ziarnku gorczycznem“. Soroka wiedział, co mówi, kiedy zapewniał, że „japoteczny szyld“ pewnie ładna rzecz, ale to tylko drobnostka, zwyczajne świeckie malowanie, tak sobie dla rozmachania pendzla — zato, kto nie widział „Gorczycznego ziarnka“, ten nic nie widział. Na tym obrazie wymalowany był Chrystus, któremu z ust wyrastało drzewo zielone z dwunastoma gałęziami, a na gałęziach tych siedziało dwunastu apostołów, u spodu zaś kilka figur, wyobrażających rzeszę ludu, spoglądało wgórę na drzewo i na bardzo niewygodnie umieszczonych apostołów, jakby czekając, który z nich pierwszy spadnie. Głowy apostołów były duże, jak dynie, a rumiane, jak jabłka, miały aureolę z gummiguty, jakby żółte kaptury, i zdawały się być osadzone bezpośrednio na bardzo małych nóżkach, które zwieszały się nadół, a było ich „rzetelnie“ dwadzieścia cztery, jak obliczył w myśli wójt Senyszyn, pedant z natury, podczas gdy pałamarz Makohon mniej obserwował samą kompozycję, szukając usilnie samego „ziarnka gorczycy“, ale wstydził się przyznać, że go nie znalazł.

---

[26] *palamarz* — (ukr.) dzwonnik, sługa kościelny.

[27] *in partibus infidelium* — (łac.) w krajach niewiernych. (pałamarz *in partibus infidelium* oznacza pałamarza tytularnego, nie pełniącego żadnych funkcyj istotnych).

Artystyczna komisja wróciła zachwycona z Szuminy, a w komitecie cerkiewnym zapadła jednogłośnie uchwała, aby do ozdobienia wnętrza cerkwi zgodzić Kurzańskiego, sławnego majstra, co stworzył „szyld japoteczny“ w Starem-Mieście i „Ziarnko gorczycy“ w Szuminie. Nadszedł nareszcie dzień uroczysty, w którym na zgromadzeniu honoracjorów wsi i w obecności parocha podpisywać się mieli wszyscy, którzy się ofiarowali przyczynić do opatrzenia nowej cerkwi w najpotrzebniejsze sprzęty liturgijne. Zgromadzenie odbyło się w samej cerkwi, świecącej nagiemi, surowemi ścianami, a jeszcze nim paroch terszowski powitał się z gromadą, zaturkotało we wsi i pokazała się ta sama żółta najtyczanka, którą już raz widzieliśmy, a z niej wysiadł ten sam pan Krzepela w cesarskiej czapeczce i z trzema złotemi różami na aksamitnym kołnierzu.

Djak Soroka, jako trzymający pióro, rozłożył wszystkie instrumenta swojej funkcji na stole, zaimprowizowanym z dwóch kobylic i kawałka tarcicy, pan Krzepela i paroch zasiedli na przyniesionym od wójta zydlu i zaczęła się sesja. Cerkiew była zapełniona, ale zauważono to zaraz, że w pierwszych rzędach stali tylko ludzie, którzy niczego nie obiecywali i „niczego się nie przyjmowali“, czekając z miną pełną ciekawości na widowisko, podczas gdy najważniejsi jego aktorowie, ci właśnie, co w pogadankach mnóstwo bogatych rzeczy „nafundowali“ do nowej cerkwi, albo kryli się gdzieś z samego tyłu, albo wcale nie byli obecni. Nie była to, niestety, skromność zbyteczna, był to tylko dowód, że mimo chwalebnej ambicji lokalnej natura ludzka tak samo słaba była w Busowiskach, jak wszędzie na tym bożym świecie i że wielką prawdę mówi przysłowie włoskie: *Dal dire al fare, c'è un gran mare.*[28]

W Busowiskach zapewne nikt nie umiał po włosku, ale każdemu z fundatorów rzeczywiście tak było na sercu, jakgdyby miał teraz, jeśli już nie przebywać wpław tego morza, co leży między słowem a czynem, to przynajmniej skoczyć do wody w zimie, obiecawszy to latem. Poważna, pełna namaszczonego niemal oczekiwania twarz księdza Tarczanina, złociste guziki pana Krzepeli, duża błyszcząca blacha urzędowa na rzemieniu wójta, a przedewszystkiem długie, groźnie sterczące gęsie pióro, z którem djak Soroka czekał, jakby kat z mieczem, odbiły się bardzo na termometrze ofiarności busowiskiej, który zaczął spadać, spadać.

Pomalały nagle serca fundatorów; nikt nie wystąpił naprzód, zaległa duszna cisza i przerwał ją dopiero donośny głos pana Krzepeli,

---

[28] *dal dire al fare, c'è un gran mare* — (włosk.) między słowem a czynem leży wielkie morze.

który sem nie przyjechał poto do Busowisk, aby na niego ludzie patrzali, jak „na małpę“, i drapali się w głowę. Na to wójt Senyszyn puścił się nagle w tłum i zaczął wyszturchiwać naprzód fundatorów. Pokazało się teraz dowodnie, że entuzjazm rzeczywiście, jak to gdzieś powiedziano, podobny jest bardzo do ostryg, bo tylko wtedy dobry, kiedy świeży. Wszystkie owe hojne ofiary, zapowiedziane ku wielkiej admiracji słuchaczy w pogadankach przy „fabryce“ lub w karczmie, zmalały do niepoznania. Dzwony bogacza Dymytryka zamieniły się teraz w sygnaturkę; Fedyszko, który obiecał własnym sumptem postawić carskie wrota, całe, „nawskroś“ złocone, ofiarował obraz św. Mikołaja; Andryjowa z ornatu zstąpiła skromnie do kilku łokci cienkiego płótna; Zabereżny właściwie nigdy nie obiecywał całego ołtarza, ale mówił tylko o dwóch świecach woskowych do tego ołtarza, który kto inny zafunduje, i na to tylko się podpisze, a na więcej nie może.

Znowu nastąpiła niemiła przerwa i byłoby może przyszło do zamknięcia sesji, gdy naraz z pomiędzy tłumu wysunęła się Nasta pocztarka i bardzo nieśmiało, z pokorą, ale i z światłem wielkiego szczęścia na chudej twarzy, zbliżyła się do komisji. Pocałowała rękę księdza, pochyliła się do nóg pana Krzepeli, oddała pokłon wójtowi, djakowi i wszystkim członkom cerkiewnego komitetu, a potem rzekła:

— Chciałabym podpisać.

Przebiegł szmer zgromadzenie i na twarzach pojawił się uśmiech napół szyderzy, napół ciekawy, jakby teraz coś bardzo zabawnego nastąpić miało. Nasta nie widziała tych uśmiechów gromady, ale i bez tego ciężko jej było i kto wie, czy nie byłaby uciekła przed szeroko i złośliwie uśmiechniętą twarzą djaka Soroki i surowym, pytającym wzrokiem wójta Senyszyna, gdyby ksiądz Tarczanin nie był jej poratował dobrem spojrzeniem i nie przemówił do niej łagodnie:

— A cóż wy chcecie podpisać, dobra niewiasto?

— Ołtarz.

Ksiądz terszowski przechylił się ku Naście, jakby dobrze nie rozumiał i czekał wyjaśnienia, ale Nasta milczała.

— Chcecie powiedzieć pewno, że coś dacie na ołtarz, bo o cały ołtarz ciężko, bardzo ciężko. Mówcie śmiało, Nasto, ofiara biednego najmilsza jest Bogu.

— Dam cały ołtarz.

— Do ołtarza trzeba wiele, więcej, niż wy może rozumiecie, Nasto; trzeba świętego obrazu, złocenia, światła. Czy wy o tem wiecie?

— Obraz święty już jest — odpowiedziała Nasta — Matka Boska duża, cała malowana. A na złoto i światło „podpisuję“, co tu jest.

I rzekłszy to, Nasta położyła przed księdzem jakiś zwitek, obróciła się szybko, już bez pokłonu i, przebrawszy się przez tłum, ślepa i głucha na spojrzenia, szepty i zatrzymywania, biegła z cerkwi na koniec wsi, do czarnej, rozwalonej chaty nad potokiem, jakby czuła pogoń za sobą.

Paroch rozwinął skręcone papierki i począł je prostować i liczyć, a były to same papierki reńskowe, bardzo brudne i pogniecione. Liczył, a im dłużej liczył, tem bardziej rosło zdumienie zgromadzonych. Pięć, dziesięć, piętnaście... i jeszcze nie wszystko: dwadzieścia, dwadzieścia pięć, trzydzieści ... i jeszcze nie koniec: trzydzieści pięć, czterdzieści i jeden! ...

Na tej liczbie rachunek księdza był skończony, więcej już nie było. Gromada busowiska towarzyszyła liczeniu z otwartemi szeroko ustami, a teraz z podziwu zamknąć ich nie mogła. Djak Soroka umaczał tak głęboko pióro w kałamarzu, że nie uważał nawet, jak teraz czarne żydy, jeden po drugim, kapały na biały papier, że ich pewnie tyle było, co Naścinych papierków. Ksiądz Tarczanin milczał także i miał łzy w oczach. Nietyle może dla wyzyskania tak ponętnej dla duszpasterza okazji, co idąc za własnym wzruszeniem, począł mówić do zgromadzonych głosem jeszcze miększym i łagodniejszym, niż zwykle. Mówił o groszu wdowim, najmilszym Bogu w niebiesiech, pobłogosławionym przez Chrystusa Pana, mówił, że nad czynem Nasty radują się anieli i że posłużyć on powinien za przykład dla innych.

Gromada słuchała w ciszy i skruszeniu, niektórzy już głośno w pierś bić się poczęli, a ten i ów miał minę bardzo zawstydzoną. Ledwie ksiądz Tarczanin umilkł, pojawił się przed stołem djaka Dymytryk, czerwony, jak burak, i „poprawił do protokołu“, że jego sygnaturka będzie właśnie za wielka do użytku ręcznego i że nawet może lepiej będzie, aby ją zawiesić na dzwonnicy, bo to, rzetelnie mówiąc, dzwon będzie duży, a nie żadna sygnaturka. Zabereżny z miną człowieka, lubiącego ścisłość i dokładność, zapytał Soroki rezolutnie, na co go podpisał i czy nie stało się jakie bałamuctwo. A gdy Soroka odczytał dwie świece woskowe, Zabereżny na to: „Ba, a ołtarz toście opuścili?“ — i uszczypnął palcami uroczyście kitę gęsiego pióra w sam czubek, na znak, ze się podpisuje na cały ołtarz. Pokazało się teraz, że i ten i ów miał jeszcze coś ofiarować, a ksiądz Tarczanin, wsiadając po ukończonej sesji na swój wózek, miał wielkie ukontentowanie na twarzy.

Nie przeczuwał pewnie, że ofiara Nasty, która go tak rozrzewniła i tak błogi wywarła skutek na wiernych, będzie powodem wielkiej burzy w Busowiskach i że drzemiące dusze włościan zakłóci uczuciem fanatyzmu, tak, jak nie przeczuwała Nasta, że tę jasną chwilę okupić będzie musiała wielką goryczą serca, bolesnem uczuciem niepojętej krzywdy.

Ale Nasta, powróciwszy do chaty nad potokiem, jeśli co czuła, to głód straszliwy. W ekstazie dzisiejszego dnia nie pamiętała o jedzeniu — teraz rzuciła się na garnek żuru, stojący na wygasłem ognisku, i z żarłocznością zwierzęcia zaczęła go wypróżniać. Nareszcie nasycona, wyszła przed chatę i położyła się na przyzbie w świetle zachodzącego słońca. Wyciągnęła jakby kurczowo stopy czarne, opuchłe i poranione, westchnęła ciężko i w tej chwili głośno zaczęła chrapać.

Tak skończyła dzień najszczęśliwszy, dzień tryumfalny swego życia Nasta fundatorka, nad którą radowali się anieli.

V

Ołtarz Nasty już za kilka dni mógł być prowizorycznie ustawiony, a miał być jednym z ubocznych. Surową stolarską robotę wykonał na poczekaniu stolarz staromiejski Smereka, a przy pomocy służącego pana Zygmunta obraz Najświętszej Panny Żniwiarki, ujęty w sute złocone ramy, został zawieszony. Złocenia różnych części ołtarza miał dokonać oczekiwany lada dzień malarz Kurzański, a ostateczną dekorację całości pozostawić trzeba było dalszej ofiarności wiernych. Wśród zupełnie nagich jeszcze ścian cerkiewki Madonna Sielska, oświetlona wybornie, sprawiała tem silniejszy efekt i, o ile wnosić można było z pierwszego wrażenia, odniosła stanowczy tryumf wobec wymagań krytyki i pietyzmu gromady busowiskiej.

Zdawało się wszystkim, że z obrazem Matki Boskiej wstąpiło w pustą dotąd świątynię Bóstwo i wypełniło cały jej przestwór uroczystą i świętą atmosferą. Cerkiewka była ustawicznie odwiedzana, a pałamarz Makohon, który fundował zamek i klucze, uważał za rzecz stosowną otwierać ją i zamykać z wszelką powagą.

Najpierw zdobył sobie obraz serca kobiet, chociaż nie mogły przebaczyć Naście „najmitce“, że tak wspaniałą fundacją uzuchwaliła się wywyższyć ponad wszystkie gospodynie. Subtelniejszy zawsze instynkt kobiecy odkrył zaraz w obrazie to, co było całą tajemnicą jego uroku. Miłościwa przystępność Madonny wzruszyła serca kobiet, i jakby odczuwały dobrze, że ta Najświętsza Panna Żniwiarka to niejako Boska transfiguracja ciężkiego, pracowitego żywota wieśniaczki, wniebowzięcie biednej, uznojonej robotnicy. Płynęła z niej słodka pociecha do dusz, świadomych aż nadto całej nędzy ziemskiej, którą ta Matka Boska Robotnica opromieniła poezją światła i rezygnacji.

Nieco zimniej, choć zawsze z admiracją, spoglądali na obraz mężczyźni. To właśnie, co tak odrazu podobało się kobietom, wpływało niepomyślnie na sąd mężczyzn: Matka Boska zanadto im była swojska i nic a nic nie straszna. Przyzwyczajono ich do cerkiewnych obrazów ponurych, wzbudzających lęk w sercach grozą postaci, dziwnie obcych

oku. Chłopi busowiscy patrzyli, kiwali głowami i milczeli. Coś w tem było, czego sobie powiedzieć nie um'eli, a może czegoś właśnie nie było, co być powinno, tylko, że nie wiedzieć co.

Tymczasem przybył do Busowisk malarz Kurzański w towarzystwie djaka Soroki. Zgodzony już poprzednio przez gminę do wszystkich robót malarskich i pozłotniczych, twórca „Ziarnka gorczycznego" przyjechał z pomocnikiem i z całym techniczym aparatem swojego podwójnego kunsztu i skoncentrował oczywiście w osobie swojej całą uwagę i ciekawość Busowisk. Ubrany był zpańska i traktował wszystkich zgóry, nawet samego wójta Senyszyna, a o sobie mówił zawsze w trzeciej osobie, jakby nie należał do siebie, ale do historji powszechnej: „Kurzański tak a tak zrobi; Kurzańskiemu nie trzeba wiele mówić; Kurzański nie z takimi gadał; Kurzański u samego władyki był na śniadaniu".

Otoczony prawie całą ludnością wioski, Kurzański, jak tryumfator, udał się do cerkwi, u której szeroko rozwartych drzwi czekał go pałamarz Makohon. Wszedłszy do środka Kurzański z Soroką zatrzymali się zaraz przed ołtarzem Nasty. Malarz patrzył chwilę i zawołał nagle, jakby mocno oburzony:

— A to co ma być? Co to jest za zgorszenie? — i nie zważając na powagę miejsca i obecność komitetu cerkiewnego, splunął z indygnacją.

Za jego przykładem uczynił to samo djak, tylko z większym jeszcze gniewem i z większą indygnacją.

— To jest paskudztwo, uważacie, ludzie, wielkie paskudztwo! Kurzański wam to mówi! To nie jest żadne święte malowanie! Kurzański każe to wyrzucić z cerkwi.

— To jest herezja! — zawołał djak Soroka.

Gromada stała w osłupieniu.

Ot, co jest! Zaraz mówili, że coś jest — i pokazało się teraz, co jest: herezja jest. Ten lwowski malarz nie wymalował Matki Boskiej, tylko herezję, a licho ją zna, co to za jedna. Masz tobie, Nasto, ołtarz! Wszyscy tak myśleli, ale nikt nie zabrał głosu. Kurzański patrzał ciągle na obraz, potrząsając głową i czyniąc gesta szyderstwa i lekceważenia.

Nagle wysunął się ktoś z gromady naprzód. Była to Tekla, kobieta bardzo bywała i mądra, która służyła długie lata po miastach i dworach, aż nagle spadł na nią piękny grunt po bezdzietnej siostrze i teraz osiadła we wsi rodzinnej. Ubierała się, jak mieszczka, i teraz miała na sobie niebieską sukienną kapotę i kwiecistą chustkę na głowie. Tekla należała do najwyższej arystokracji Busowisk, tak z majątku,

jak z ogłady i rozumu — tylko ona jedna mogła mieć taką śmiałość, aby się teraz, w takiej drażliwej chwili, wysunąć naprzód i odezwać z własnem zdaniem.

— To jest Matka Boska! — rzekła stanowczo i jakby karcącym tonem, śmiało patrząc w oczy Kurzańskiemu, który mierzył ją bardzo lekceważącem spojrzeniem.

— To ma być Matka Boska! Kurzański takiej Matki Boskiej jeszcze nie widział! A co to jest za Matka Boska? Kurzański zna Matkę Boską Pokrowę, zna Uspenije, zna Egipską, zna Błahowiszczenie, zna Premudrość — ale takiej Kurzański nie widział.

— Bo to jest Matka Boska Żniwiarka — odpowiedziała niezmieszana Tekla.

— Hi, hi .... — zaśmiał się złośliwie Kurzański — Matka Boska „najmitka“, Matka Boska, uważajcie tylko, ludzie, tak ubrana, jak chłopka, czysta mołodycia! Ot, i malowanka jest i wyszywanka jest! Hi, hi ...

— A co w tem złego? — zapytała Tekla rezolutnie.

— Co w tem złego? — krzyknął Kurzański, załamując ręce ze zgrozą. — To sobie obstalujcie jeszcze Chrystusa Spasytela w kożuchu chłopskim i z siekierą! Co w tem złego? Kurzański jeszcze takiej głupiej baby nie widział!

— A ja już nie jednego głupiego malarza widziała! — zawołała teraz Tekla, nie hamując się w gniewie, a gniew ten dał jej prawdziwy zapał i uczynił nad wszelkie spodziewanie wymowną. Zbliżywszy się jeszcze bardziej do malarza i gestykulując żywo, tak, że Kurzański cofać się musiał, poprostu utopiła go całego w swojej nawalnej swadzie, płynącej, jak potok wezbrany. Kurzański niech swoją mądrość schowa dla siebie, a ona, co wie, to wie. Niech Kurzański maluje, a nie gada, bo takiego obrazu Matki Boskiej nie przegada, a ona, to jest Tekla, także przegadać się nie da. Alboż to grzech i wstyd jest, że Matka Boska ma koszulę z naszywkami i malowankami? Matka Boska jest królową niebieską i może się tak ubierać, jak się jej podoba, a Kurzańskiemu zasię! Ona widziała w Samborze cesarza, a on miał taki sam biały kabat, jak każdy prosty żołnierz, a przez to każdy wiedział, że to cesarz. Tekla wie o tem, że Matka Boska jest królową niebieską, ale, kiedy jeszcze chodziła po świecie, była kobietą, jak inne kobiety, i stoi napisano, że była biedna i pracowała tak, jak inne kobiety, a czasem głowy gdzie skłonić nie miała, jak najbiedniejsza najmitka, i płakała za synem, jak inne matki płaczą. Albo Kurzański nie wie, że Matka Boska przędła, a tak cieniutko, że jej pajączek zazdrościł? Kurzańskiemu obraz się nie podobał, a jej, biednej babie,

i innym babom podobał się bardzo, bo to jest nasza Matka Boska, pracowita, a przez to wszystko zawsze święta, błogosławi tym złotym kłosom, na których siadła, i pracy ludzkiej około bożego chleba, i tem daje znak, że ona, choć królowa anielska, trzyma z biednymi; choć koronę zostawiła w niebie, to każdy widzi, że to Najświętsza Panna, i niech Kurzański za jej honorem tak nie obstaje! Tak stara Tekla Kurzańskiemu radzi, bo ona, oczywiście Matka Boska, tego nie potrzebuje ...

Kurzańskiemu podczas tej całej perory, która bardzo długo trwała, a tak była gęsta i szczelna, że żadnym sposobem drobnego słówka odpowiedzi wtrącić w nią nie mógł, ciepło było, jak w gorącej kąpieli. Ochłonąwszy, chciał teraz odpowiedzieć, ale przeszkodził mu krzykliwy chór bab, które, uniesione przemową Tekli, wszystkie odrazu poczęły jej przyznawać rację. Wójt Senyszyn począł się już zastanawiać, czy nie wypada mu z urzędowego stanowiska interwenjować przeciw babskiej demonstracji, tak nieprzyjaznej dla twórcy „Gorczycznego ziarnka", które on sam oglądał i podziwiał, kiedy zaszedł niespodziewany epizod. Oto pojawił się w cerkwi Kłymaszko, który przyjechał właśnie, aby zarządzić jeszcze niektóre końcowe roboty i ostatecznie skontrolować całość, wykonaną według jego planu przez zięcia.

— Ot, jest Kłymaszko! Niech sam Kłymaszko rozsądzi! — zawołał uradowany Soroka, pewny, że Kurzańskiemu przybywa sukurs rozstrzygający.

Kłymaszko, zorjentowany, o co idzie, przystąpił do ołtarza i począł się przypatrywać uważnie obrazowi. W miarę jak patrzył, twarz jego, już z natury jakby dobrodusznie i figlarnie uśmiechnięta, poczęła się uśmiechać jeszcze bardziej, coraz dobroduszniej i figlarniej, a powiekami przy tem mrugał ciągle. Kurzański wytłumaczył na swoją korzyść ten ciągły uśmiech i, zrzekając się repliki na przemówienie Tekli, zagadnął:

— A co, Kłymaszko, czy widzieli wy taką Matkę Boską?

— Nie, takiej to ja nie widział jeszcze! — odpowiedział Kłymaszko, ale oczu nie spuszczał z obrazu, tylko coraz bardziej mrugał, a twarz uśmiechała mu się jeszcze dziwniej.

Gdyby twórca „Gorczycznego ziarnka" miał więcej wprawy fizjognomicznej, byłby odgadł, że ten uśmiech na twarzy Kłymaszki nie oznacza szyderstwa, ale rozrzewnienie. Kłymaszko jakby walczył ze wzruszeniem: skoncentrował raz jeszcze całą uwagę, potem objął całość obrazu wraz z dalekiem tłem górskiego widoku i z tą cerkiewką, widniejącą na wzgórzu, która była jego cerkwią najwyraźniej, najniewątpliwiej jego cerkwią, tą samą, która była „drukowana" — i nagle

puściły się starowinie łzy z pod mrugających powiek i, jak stał, tak padł na kolana przed obrazem i począł bić czołem pokłony, jak przed „płaszczenicą“ w Wielki Piątek.

Teraz tryumf Madonny zdawał się być stanowczy.

Kobiety wszystkie poszły za przykładem Kłymaszki i poklękały, a Kurzański wraz z Soroką ulotnił się niespostrzeżenie. Śmiałe wystąpienie Tekli i hołd Kłymaszki odwróciły wielkie niebezpieczeństwo, jakiem zagrażały obrazowi zawiść i uprzedzenie.

Nazajutrz dziewczęta busowiskie nie miały nic pilniejszego do roboty, jak zebrać jak najwięcej polnych kwiatów i zasypać niemi cały ołtarz, a Tekla, która dotąd nic nie ofiarowała do cerkwi i nic ofiarować nie myślała, popchnięta teraz całą ambicją, skoro świt pojechała do Sambora i wróciła z dwiema ogromnemi świecami z białego wosku i z dwoma lichtarzami z cyny, które świeciły się, jak szczere srebro. Miejskie panie, bawiące w Spasie, które czasem chodziły na przechadzkę do Busowisk i z ciekawości zaglądały do budującej się cerkiewki, ujrzawszy w niej obraz, przychodziły prawie teraz codziennie, a coraz liczniej, i stały przed Matką Boską całemi godzinami. Jedna z nich przyniosła muślinu i ustroiła ołtarz w draperję; druga pospinała muślin jedwabną błękitną wstążką; inna znowu kazała przybić kwiecisty kobierczyk, aby służył ołtarzowi za antependjum — zgoła, ołtarz ustroił się w kilka dni jakby cudem i od biedy mógłby się już był obejść bez złocenia.

Naście skakało w piersi serce, jak ptaszek na rannem słońcu; spędzała cały czas wolny przed swoim obrazem w uniesieniu i niemej adoracji, trzymając do góry złożone dłonie, nieruchoma, jak fakir indyjski.

Pewnego dnia już pod wieczór, zajechała przed cerkiew żółta najtyczanka pana Krzepeli, a z niej wysiadła hrabina ze Spasa, jak zawsze, z trzciną o złotej gałce i w towarzystwie popielatej panny. Hrabina patrzała surowo na obraz, a czarne jej oczy bardzo były gniewne; popielata panna stała obojętnie i ziewała ukradkiem.

Tak jest, niema wątpliwości, to ona, żywcem przeniesiona na płótno przez Zygmunta. To nie Madonna, to portret kuzynki, pani Walentyny. Ten sam owal twarzy, zakreślonej czystą, prawie klasyczną linją, te same oczy, takie ciemno — niebieskie, że wydają się czarne, a w tych oczach ten sam wyraz rozmarzenia, z pod którego, jakby z pod przejrzystej mgły, przebłyskiwał żywy ogień, co bardziej palił się sam w sobie, niż świecił, że prawie dziwić się trzeba było, dlaczego się z tych oczu nie słyszy prysku. Tak, to te same usta, pełne, zanadto pełne, jakby obrzymiały nadmiarem temperamentu i życia, i ten sam

nosek dumny, któryby był skończenie piękny, gdyby jakiś nerwowy a rozkoszny rys nie alterował za każdym uśmiechem jego szlachetnej linji; te same włosy o dziwnie miękkim i ciepłym tonie, jakby starego, matowego złota; ta sama zwycięskość, pożądająca zwycięzcy, w wyrazie twarzy; ta sama urocza *morbidezza*,[29] której tak zazdroszczą Walentynie wszystkie elegantki ...

— *Mademoiselle Pichot!*

— *Madame?*

— *C'est précisément elle.*

— *Oui, madame la comtesse, c'est précisément elle!*[30]

Ale nie ... Przecież to nie całkiem ona. Czegoś w tym obrazie jest więcej i czegoś jest mniej, niż w oryginale. Walentyna nie jest taka piękna — ten obraz dużo piękniejszy. Tu, na obrazie, oczy nie pryskają ziemskim żarem; ów wyraz rozmarzenia jest tu błogością, płynie z pod niego światło pełne, czyste i spokojne. Na ustach usiadła słodycz macierzyńskiego uśmiechu, którego ta kobieta przecież nigdy nie znała; czoło tu trochę wyższe i poważniejsze, na twarzy nic niema zwycięskiej zuchwałości oryginału, niema nawet dumy, tylko pogoda dostojnej duszy ... To nie jest kuzynka Walentyna: między nią a tym obrazem leży całe niebo, albo raczej ... cała ziemia ...

— *Mademoiselle Pichot!*

— *Madame?*

— *Non, ce n'est pas elle.*

— *En effet, ce n'est pas elle, madame la comtesse!*

Ale bądź co bądź, przecież to źle jest, że pan Zygmunt myślał o niej, malując oblicze Tej, która jest Boskim ideałem czystości i macierzyństwa! Może nie myślał o niej, malując, może tylko pamiętał, może nawet nie pamiętał, może tylko nie mógł zapomnieć. Ale to zawsze było niepoczciwe ... nie, to za ostre słowo ... to było nierozważne. Ta Madonna jest przecież Walentyną w ideale; Zygmunt tchnął w obraz to, czego tchnąć nie zdołał w model: natchnienie artysty pracowało w służbie nieszczęśliwego człowieka, który może nareszcie zrozumiał, że łatwo wymarzyć sobie doskonale idealną kobietę ale nieskończenie trudno poprawić rzeczywistą. Nie powinien był tego robić: to obraża serce i narusza religijne uczucia. Z pod tej Boskiej

---

[29] *morbidezza* — (włosk.) miękkość, giętkość, pieszczotliwość.

[30] *Mademoiselle Pichot!* — (fr.) panno Pichot! *Madame?* — (fr.) Pani? *C'est précisément elle.* — (fr.) to dokładnie ona. *Oui, madame la comtesse, c'est précisément elle!* — (fr.) tak, pani hrabino, to dokładnie ona!

dostojności widać przecież tę kobietę; pod tym purpurowym płaszczem Królowej Anielskiej rysują się plastycznie jej piękne ramiona ...

— *Mademoiselle Pichot!*

— *Madame?*

— *Jamais de ma vie je ne pourrais prier devant cette Vierge!*

— *Moi non plus, madame la comtesse!*[31]

Ależ znowu ... czy, podziwiając piękny kwiat, pełny barwy i woni myślimy o gruncie, na którym wyrósł? Czy w jego przeczystym kielichu pozostał jakiś ślad ziemi? Mówią, że najwięksi mistrze malowali swoje wzniosłe obrazy religijne według ludzkich, bardzo ludzkich modeli. Hrabina czytała, że Madonny Rafaelowskie chodziły po ulicach Rzymu. Jej to wiedzieć nie było przyjemnie i wolała zawsze wierzyć, że te Boskie postacie powstawały w intuicji serca, w ekstazie duszy wierzącej a uniesionej, jak powstawały Madonny Fra Angelica ... ale mimo to wszystko czyż nie uklękłaby była w Dreźnie przed Madonną Sykstyńską, gdyby nie pamiętała, że jest w galerji, pełnej angielskich turystów? I cóż stąd, że Walentyna była tu modelem? Ziemska kobieta stopniała i rozwiała się w natchnieniu malarza, jak brylant w potężnym ogniu alchemika. Zygmunt odjął tej kobiecie wszelką ziemskość, a cóż jest Madonna, jeśli nie typ kobiety bez skaz ziemskości? I cóż stąd, że ten obraz przypomina hrabinie tak natrętnie rysy światowej kobiety, kiedy złożyła się nań czysta, natchniona miłość artysty i najczulszy pietyzm matki? Dlaczegożby nie miała ugiąć kolana przed tą kreacją duszy szlachetnej a cierpiącej, która wkrótce już może stanie przed tronem Przedwiecznego? ...

— *Mademoiselle Pichot!*

— *Madame?*

— *Prions pour lui et pour elle!*

— *Oui, Madame!*[32]

I hrabina zsunęła się na kolana i długo się modliła wraz z popielatą panną.

---

[31] *Jamais de ma vie je ne pourrais prier devant cette Vierge!* — (fr.) nie umiałabym nigdy w życiu modlić się przed tą Dziewicą! *Moi non plus, madame la comtesse!* — (fr.) ani ja, pani hrabino!

[32] *Prions pour lui et pour elle!* — (fr.) módlmy się za niego i za nią. *Oui madame!* — (fr.) tak, pani!

VI

Podczas gdy obraz Madonny Sielskiej odnosił takie tryumfy, gotowała się przeciw niemu burza. Kurzański i Soroka, a przyłączył się do nich także pałamarz Makohon, rozwinęli przeciw niemu zaciętą agitację. W zachowaniu się djaka Soroki odgrywało rolę jakieś szczere fanatyczne uprzedzenie do obrazu, co tak był odmienny od wszystkich innych, co śmiał odstępywać od tradycyj, z któremi się zrosła imaginacja cerkiewnego sługi; w namiętnej opozycji Kurzańskiego był inny, gorszy moment moralny. Była to owa odwieczna nienawiść pospolitej duszy do talentu, ciemności do światła. Łojowa świeczka, gdyby czuć i myśleć mogła, pewnie nienawidziłaby słońca. Dopóki świat światem, istnieć będzie nienawiść miernoty i głupoty do wyższości i genjuszu, nienawiść nieubłagalna, bo instynktowna, podyktowana walką o rację bytu, nienawiść rozpaczliwego oporu przeciw unicestwieniu. Taką nienawiścią zapałał twórca „Gorczycznego ziarnka" przeciw obrazowi Matki Boskiej Żniwiarki.

Nurtowanie zaczęło się w komitecie cerkiewnym, a wiemy, że sam obraz przygotował już był grunt do niego. Bądź co bądź, niech sobie mówią, co chcą, Tekla i Kłymaszko, przecież to jasna rzecz, że ta Matka Boska jest całkiem inna, niż wszystkie, jakie kiedykolwiek oglądali po cerkwiach, na czarnych płótnach, od których ponurego tła odbijały się złote i srebrne serca, zawieszone *ex voto*. Niema wątpliwości, że ta Matka Boska, fundowana przez Nastę, jest jakoby zwykła „newistka", z ubioru i zajęcia prawie taka sama, jak każda inna góralka, a uczucia religijne busowiskich chłopów, zawsze jeszcze jakby omroczone fantastycznym półbrzaskiem, co stanowi przejście z ciemności do światła, z zabobonu do wiary, czuły się dotknięte i obrażone takiem wyobrażeniem Madonny, dlatego właśnie niejasnej dla nich, że zanadto była zrozumiałą, dlatego właśnie takiej obcej i „niesamowitej", że była taka swojska i przystępna. Soroka prawił im ciągle, że to grzech, zgorszenie i zabicie duszy, Kurzański tłumaczył, że to wstyd, hańba, i „wielka publika" — tak, że biedny komitet cerkiewny ujrzał się na wąziutkiej linji między grozą a śmiesznością, jakby między dwiema przepaściami. Niema innej rady, tylko obraz wyrzucić.

Z komitetu cerkiewnego przeniosła się agitacja do wsi i znalazła

szybko posłuch. Nawet między kobietami, które od owego zajścia między Kurzańskim a Teklą uważały się za gwardję Matki Boskiej „najmitki“, pewna część nie mogła się oprzeć przekonaniu, że możeby to nieźle było, gdyby wyrzucono obraz, fundowany przez Nastę, i upokorzono „pychę“ tej żebraczki. Ale wszystko obracało się jeszcze w granicach dysputy — do wyrzucenia obrazu nikt nie zabierał się na poważnie. Wójt Senyszyn przedkładał, że tak nie uchodzi, że obraz Nasty został „podpisany“ i przyjęty, i że on nie pozwoli nigdy na wyrzucenie, że trzeba przedtem zasięgnąć zdania osób duchownych — niech one sądzą, czy obraz może zostać w cerkwi, czy nie.

Chwycił się oburącz djak Soroka tej myśli i, poparty gorąco przez Kurzańskiego, zaproponował, aby cały komitet udał się po radę do ojca Mitrofana z ławrowskiego klasztoru. Ojciec Mitrofan to prawie święta osoba, bogobojny czerniec, a przytem sam malarz sławny, co może jakich sto „płaszczenic“ wymalował i rozdarował rozmaitym cerkwiom. Tylko on jeden może rozsądzić sprawę bez apelacji. Sam ksiądz tu nie wystarczy jeszcze, bo nie malarz; sam malarz nie wystarczy, bo nie ksiądz — trzeba, aby był ksiądz i malarz w jednej osobie, a taką osobą jest właśnie ojciec Mitrofan. Argument był bardzo przekonywujący i uchwalono w najbliższą niedzielę udać się do Ławrowa, do ojca Mitrofana. Obrazu z sobą wziąć nie było można, bo byłby wielki krzyk przed czasem, ale Kurzański zapewniał, że on cały obraz tak „opowie“ ojcu Mitrofanowi, że go będzie widział przed sobą.

Ojciec Mitrofan był już wielki starzec, a ludzie wierzyli, że dawno mu sto lat minęło, bo podeszli już dobrze gospodarze od kilkudziesięciu lat pamiętali go czerńcem w Ławrowie, a już wówczas był siwy. Słynął z bogobojności i ascetyzmu, wielce przez lud okoliczny czczony a nawet kochany. Teraz już był wiekiem złamany i słaby, jak dziecko: nie wychodził już prawie nigdy z celi, nie malował już także. Gospodarze busowiscy zastali go w dużem krześle z poręczami, bielutkiego, jak gołąb, z długą brodą po pas, drżącego na ciele od starości, jak listek osikowy. Ściany celi od sklepienia do podłogi okryte były obrazami, w pewnej części pendzla samego mnicha, przeważnie atoli starożytnemi dziełami czysto bizantyńskiej szkoły, które ojciec Mitrofan wysoce cenił i skrzętnie gromadził.

Był on rzeczywiście niegdyś malarzem więcej, niż dobrym; miał talent prawdziwy, podniecony egzaltacją religijną, ale jakby był wychowańcem mnichów z góry Athos[33] i ich akademji malarskiej,

---

[33] *Athos* — góra na wybrzeżu morza Egejskiego, na której znajduje się słynny klasztor prawosławny.

zamknął całą swoją twórczość w ciasne i twarde formułki bizantyńskie, zakuł w sztywny szablon tradycyj i jakby zmumifikował. Że atoli był artystą prawdziwym i imaginacja jego szukała sobie tchu i powietrza bodaj o tyle, o ile dostawało się go przez szczeliny tego sarkofagu, w którym ją żywcem zamknięto, więc ojciec Mitrofan próbował samoistności w jednym z rysów charakterystycznych bizantyńskiego malarstwa, a mianowicie w jego ponurej grozie. Umiał grozę tę oddawać i potęgować w dziwnie posępny i fantastyczny sposób: jego Chrystus każdy na „płaszczenicy" był niewymownie groźny, nawet cierpieniem własnem straszny — nie chciał politowania, jakby ono było bluźnierstwem, ale przejmował głębokim lękiem serca widzów. Patrząc na obrazy pendzla ojca Mitrofana, których wiele znajdowało się w okolicy, prawie wyłącznie w formie tak zwanych „płaszczenic", przypominała się owa czarna, nad wyraz groźna i chmurna twarz Chrystusa w Nowogrodzie, pod którą stoi napis: „Patrz, człowieku, jako Bóg twój strasznym jest Bogiem!"

Chłopom busowiskim nie trzeba już chyba było rozmowy z ojcem Mitrofanem: sam widok jego celi wystarczał, aby ich przekonać, że obraz Matki Boskiej, ofiarowany przez Nastę, nie jest taki, jaki być powinien, że nie jest świętym ikonem,[34] jak to słusznie przestrzegali Soroka i Kurzański. Tu była taka moc obrazów świętych, a żadnego nie było między niemi, któryby choć trochę był podobny do tamtego. Wszystkie przejmowały trwogą, wszystkie były posępne i odpychały groźnie wzrok ludzki: zdawały się wymagać, aby spozierać na nie ukradkiem, bardzo pokornie i przelotnie i zaraz potem spuszczać oczy i bić czołem pokłon po pokłonie. A na tamten można było patrzeć dowoli, i oko nic się nie bało, a jasny był i przejrzysty, jakby to nie było płótno, tylko okno otwarte na góry, lasy, łany i dalekie sine niebo. Widocznie nie był to rzetelny ikon.

Tu, na tych ścianach mniszej celi było dość obrazów Bogarodzicy: była taka, co dwa razy powtarzała się na płótnie, raz na ziemi między ludźmi, drugi raz na wysokości w obłokach — to „Pokrowa", była taka, co leżała na całunie śmiertelnym — to „Uspenije", była trzecia, unosząca się ponad studnią, do której się cisnęli tłumnie monarchowie i książęta tego świata w złocistych mitrach i koronach — to „Źródło Żywota"; była czwarta z wzniesionemi ku niebu ramionami i z Jezusikiem na piersi, jakby w sercu, który także wznosił dłonie ku górze i to jest „Premudrost"; była jeszcze inna w wysokiej złotej koronie, w złotym płaszczu, jak caryca ... ale takiej w malowance i z sierpem nie było.

---

[34] *ikon* — (z grec.) obraz święty.

Soroka i Kurzański byli mówcami deputacji i opowiedzieli staremu czerńcowi, poco tu przyszli, przerywając ciągle jeden drugiemu. Ojciec Mitrofan słuchał, jakby nie rozumiał. Widocznie staruszek był już zdziecinniały i z trudnością tylko wytłumaczono mu sprawę. Mitrofanowi rozjaśniły się przymglone oczy, ożywił się widocznie: temat ukochany podniecił na chwilę jego pamięć i przytomność. Ale starzec z całej sztuki, którą tak umiłował, zatrzymał tylko wspomnienie samych formułek i zewnętrznych szczegółów technicznych; na ogarnięcie jej ducha i treści nie mógł się już zdobyć umysł niedołężny. Zaczął mówić szeroko, bezładnie gadatliwie, mieszając rzeczy istotne z bagatelami rzemiosła, właściwe z niewłaściwemi, ważne z podrzędnemi.

Nie! Ojciec Mitrofan takiej Matki Boskiej nie zna, nie widział nigdy. Oni coś bałamucą, takiego obrazu niema, być nie może. Jest malowanie i malowanie. Najlepsze malowanie jest korsuńskie, bo to jest najczystszy styl bizantyński. On zawsze starał się, aby było po korsuńsku. Bywało, modlił się i płakał bardzo, aby mu Pan Bóg dał dobre malowanie, a przynajmniej niegrzeszne, bo trzeba wiedzieć, że malowanie wielkim grzechem być może. Takiej Matki Boskiej, o jakiej oni mówią, niema, a jak jest gdzie, to chyba heretycka, nie święta, nie ruska. „Hermeneja", to jest święta księga dla malarzy, na świętej górze Athos napisana, — to jakby biblja malarska jest; on się zawsze jej wiernie trzymał. Tam wszystko stoi, jak ma być. Jak malujesz Matkę Boską, maluj tak a tak! Najpierw, aby była miara. Ma być dziewięć główó od czoła do stóp, a każda głowa ma mieć dziewięć miar. Farby, to już rozmaicie się miesza; twarz Najświętszej Bogarodzicy ma być koloru ziarnka pszenicy, ale trzeba koniecznie, aby przebijał trochę dziewiczy rumieniec. Bierze się trochę cynobru. On zna i „Podlinnyk" i „Stohław" — to bardzo uczone księgi, także dla żywopiśców;[35] w nich jest cała ikonografja i wszystkie szemata, ale ani w „Podlinnyku" ani w „Stohławie" takiej Matki Boskiej niema.

Nie maluj Pana Boga twego lekkomyślnie, bo to gorzej, niż gdybyś Go wzywał nadaremnie! Ani Jego Syna, ani Jego świętych, patrjarchów, anachoretów, stylitów, proroków i męczenników. Nie zabieraj się do dzieła zuchwałem sercem, ani się na twój nędzny rozum nie spuszczaj, bo to będzie malowane bluźnierstwo. On malował zawsze z wielkim strachem bożym, w pokorze i „pokajaniu"...[36] ale cóż, z duszy na płótno daleka droga, bardzo daleka i bardzo ciężka. Dusza niby widzi, a ręka nie może. On już teraz nie maluje, tylko modli się, aby mu Bóg miłościw dał odpuszczenie, bo on jest człowiek

---

[35] *zywopisiec* — (z ukr.) malarz.
[36] *pokajanie* — (z ukr.) skrucha.

grzeszny, grzeszny, grzeszny ... malowanie jego było mizerne, a życie jeszcze mizerniejsze ...

I tu umilkł staruszek, i począł płakać, i bić się w piersi ale w tejże chwili usnął z nieobeschniętemi łzami, jak dziecko.

Teraz losy obrazu już były zdecydowane, i to nieodwołalnie, w ostatniej instancji. We wsi oczekiwano z wielką ciekawością powrotu deputacji. Żaden z jej członków nie zrozumiał tego, co mówił ojciec Mitrofan, ale każdy starał się spamiętać przynajmniej jedno i to właśnie najniezrozumialsze słowo i przez całą drogę z Ławrowa do Busowisk trzymał je z fizycznem prawie wysileniem w pamięci, jakby niósł w ręku cudzego kota, który lada chwila wyrwać się może i uciec w pole.

We wsi zasypano ich pytaniami, na które każdy odpowiadał z powagą człowieka, który posiadł jakąś mistyczną wiedzę, skoncentrowaną w jednem tajemniczem słówku, jakby w magicznem zaklęciu. Niezrozumiałe słowa o. Mitrofana, doniesione szczęśliwie do wsi, rozbiegły się między chłopami i służyły za hasło dalszej agitacji, powtarzane z tem większym zapałem i z tem większą konwikcją, im ciemniejsze było ich znaczenie. Busowiska podzieliły się na dwie wrogie sobie partje, jak ongi Bizancjum. Partja ikonoklastów[37] była może mniej liczna, niż przeciwna, ale zawziętsza i ruchliwsza, jak zwykle stronnictwo z programem zaczepnym. Dawały się słyszeć rozmaite pogróżki: gwałtowniejsi chcieli obraz wyrzucić natychmiast, a Makohon zapowiadał głośno, że go pokraje w drobne szmaty.

Nastę przejęła nieopisana groza. Nie pojmowała nic z tego, co słyszała i widziała naokoło siebie; krążyła ciągle koło cerkwi z zaciśniętemi silnie ustami, a szeroko rozwarte jej oczy połyskiwały złowrogo, pełne wielkiego gniewu, wielkiej rozpaczy i jakiegoś strasznego oczekiwania. Odkryto, że Nasta chodziła tego dnia z siekierą, schowaną pod płachtą, którą przerzuciła na ramiona, i że noc spędziła u drzwi cerkwi, leżąc, skręcona pod dębowym węgłem, jak pies czujny na straży.

Głowa rządów lokalnych, wójt Senyszyn, nastraszył się teraz własnej odpowiedzialności i, jakkolwiek sam należał do umiarkowanych ikonoklastów, zaczął hamować rosnące roznamiętnienie. Odebrał Makohonowi klucze od cerkwi i wziął je sam w przechowanie, a Naście wyperswadował, że może być spokojna, bo nikt nie poważy targnąć się na jej obraz i dopiero „komisja“ postanowi, co ma być, i że czy tak, czy inaczej wypadnie, to obraz pozostanie jej własnością, a pieniądze gromada jej wróci. Nastę uspokoiło to znacznie, ale

[37] *ikonoklasta* — (z grec.) burzyciel obrazów, obrazoburca.

nazajutrz, wybierając się w zwykłą drogę na pocztę, postanowiła uwiadomić w Spasie o wszystkiem pana Zygmunta i prosić także hrabinę o opiekę nad zagrożonym obrazem. Hrabina tylko jedno słówko szepnie panu Krzepeli, a pan Krzepela zawoła zaraz wójta i przysiężnych, albo sam nawet przyjedzie do Busowisk w cesarskiej czapce i wszystko będzie dobrze.

Tymczasem tego samego dnia, kiedy Nasta wybrała się z domu z takim programem, pocieszona i spokojna, przyjechał do wsi ksiądz Tarczanin z Terszowa. Soroka uwiadomił go z miną niewinną i zmartwioną, że w Busowiskach gotuje się awantura i że ludzie buntują się bardzo na obraz Nasty. Jak podpalacz, przestrzegał, że się pali, kiedy był już pewny, że ogień wzniecony przez niego samego, rozrósł się już w silny pożar, który nie tak łatwo ugasić. Ksiądz Tarczanin widział był już przedtem obraz, ale nie wypowiedział o nim zdania. Matka Boska Żniwiarka podobała mu się bardzo jako obraz, ujęła go wdziękiem pomysłu, oddanego przez prawdziwy, wyższy talent, ale to było upodobanie czysto estetyczne i pozostawiało jakiś religijny skrupuł. Przychylne wrażenie nie mogło stłumić w duszy księdza jakiegoś głosu, który odzywał się przeciw obrazowi. Ksiądz Tarczanin miał zmysł piękna i wyższe wyobrażenie o sztuce, ale ów głos mówił mu, że ten obraz tu, w cerkwi busowiskiej, nie jest na swoim miejscu. Wolny od uprzedzeń, zanadto przecież kochał swój obrządek, zanadto zrósł się z jego wschodnimi tradycjami, aby nie czuć, że ten obraz odstępuje od typu, który mu był drogi i szanowny, bo zrósł się z jego imaginacją jeszcze od czasów dziecinnych. Uczucie jego religijne nicby nie miało przeciw temu, gdyby obraz ten wisiał w prywatnem mieszkaniu; z serdecznem upodobaniem patrzałby w galerji obrazów na tę Madonnę Sielską, Madonnę Wieśniaczkę i Rusinkę, kupiłby z pewnością jej fotografję — ale w cerkwi wolałby mieć inną.

Teraz zaniepokoił się i zakłopotał bardzo, nie widząc łatwego wyjścia. Ledwie stanął we wsi, kiedy się ujrzał otoczonym przez tłum mieszkańców. Przeciwnicy obrazu mając na czele członków deputacji, która była u ojca Mitrofana, przypuścili szturm prawdziwy do zmieszanego parocha, wzywając go, aby kazał wyrzucić obraz z cerkwi.

My nie chcemy takiej Matki Boskiej — wołał Fedyszyn. — My chcemy, aby była po korsuńsku!

— To jest Matka Boska bez c y n a b r u ! — dorzucił Zabereżny.

— Ma być z c y n a b r e m i taka, jak w cerkwi „stohławskiej"! — krzyczał Czeryszyn, który „Stohław" wziął za miejscowość.

— Albo jak w „Podlinnyku"! — dodał ktoś trzeci.

— I ma być miara na dziewięć głów, a każda głowa na dziewiątą miarę! — dopominał się cieśla Zubek.

— Nie chcemy Matki Boskiej Najmitki, nie chcemy Matki Boskiej „mołodyci!“ Ma być koniecznie z cynabrem i taka, jak ją malują na Świętej Górze! Taka ma być, jak w „Stohławie!“ Na dziewięć miar! Korsuńska, a nie taka! — wołali wszyscy razem. Paroch z trudnością tylko uciszył i uspokoił krzykliwych ikonoklastów, którzy gwałtownością swoją steroryzowali równie może licznych zwolenników obrazu, bijąc ich, jakby kijami, terminologją ojca Mitrofana. Coś trzeba było zrobić koniecznie dla zażegnania burzy, a głównie dla ocalenia obrazu, który był w prawdziwem niebezpieczeństwie, bo któryś z zuchwalszych fanatyków mógł się dostać do cerkwi i zniszczyć dzieło sztuki. Parochowi wpadła do głowy myśl, która na teraz przynajmniej dawała wyjście z drażliwej sytuacji. Postanowił zabrać obraz z sobą do Terszowa, a dalsze załatwienie kwestji pozostawić czasowi. Kazał zdjąć obraz, i obwinąwszy go starannie własnemi rękami, włożył na wózek, a sam siadł koło furmana i odjechał.

Obrazoburcy busowiscy z tryumfem patrzyli po sobie, a potem na puste miejsce przed ołtarzem, gdy w tej właśnie chwili Tekla, która dopiero teraz dowiedziała się o całem zajściu, wpadła zadyszana i czerwona do cerkwi, a ujrzawszy puste miejsce na ścianie, załamała ręce i poczęła głośno płakać. Jakby tylko czekały hasła, te same kobiety, które przed chwilą bez żadnej opozycji patrzyły na wynoszony obraz, poszły teraz za przykładem Tekli i poczęły jeszcze głośniej płakać i zawodzić. Babski lament okazał się zaraźliwym, do płaczu przyłączyły się teraz krzyki i pogróżki mężczyzn na komitet cerkiewny, na Sorokę i Kurzańskiego. Nagle Tekla przestała płakać, otarła łzy kwiecistą chustką i, z furją przystąpiwszy do ołtarza, zabrała swoje świece i lichtarze.

— Będziecie tego żałowali! — zawołała. — Bóg was skarze, boście wypędzili Matkę Boską! Ja wam moich świec nie dam i nikt wam już nic nie da; będziecie mieli zawsze takie gołe ściany, jak teraz, boście wypędzili Matkę Boską!

Tak zawsze bywa w podobnej sytuacji, że jedno energiczne słowo, trafiające wprost do serca i imaginacji, decyduje obojętne, lub chwiejne umysły i przeważa szalę na stronę napozór już pokonaną.

„Wypędziliście Matkę Boską!“ — te słowa Tekli padły, jak rakieta, między zgromadzonych. Wszczął się wielki hałas i ci, co przed chwilą dopiero tryumfowali, nastraszyli się teraz własnego tryumfu. Ani się spostrzegli, jak stopniała ich liczba i jak w jednej chwili opuściła ich połowa stronników, usuwając się od ludzi, napiętnowanych przez Teklę jako łotrów, co „wypędzili Matkę Boską“.

VII

Tymczasem Nasta trafiła w Spasie na katastrofę. Gdy oddała pocztę panu Krzepeli i zabierała się do odszukania pana Zygmunta i hrabiny, powiedziano jej, że pana Zygmunta wczoraj w południe zniesiono na rękach, jak nieżywego, ze „ślimaka“, że był biały, jak papier, i miał oczy zamknięte, a z ust płynęła mu krew. Z początku myślano, że już nie żyje, ale przecież po długiej chwili otworzył oczy i próbował mówić, ale nie mógł. Posyłano w nocy po lekarza na wszystkie strony: do Starego-Miasta, do Sambora, nawet do Lwowa poszła sztafeta. Pani hrabina płakała, jakby nad własnem dzieckiem, i całą noc nie zmrużyła oka, siedząc przy chorym, a i teraz tam ją zastać można. Nasta pod wrażeniem tej wiadomości, które takie było, jakby ktoś tępym obuchem uderzył ją gwałtownie w ciemię, tak, że nic nie słyszała od wielkiego szumu w uszach i nic nie widziała od „świeczek“, latających przed oczyma — pobiegła do pomieszkania pana Zygmunta. Nie wiedziała, poco tam idzie i czy tam iść wolno — szła machinalnie za stanowczym rozkazem instynktu, który jej powiedział, że musi dostać się do chorego, jak wierny pies do swego pana, i położyć się na progu, jeśli go wpuszczą, za drzwiami, jeśli wypędzą.

Nikt jednak nie odpędził Nasty: dostała się do pierwszego pokoju, który był pusty, i stanęła cicho w progu, z którego mogła widzieć, co się dzieje w drugim pokoju. Pan Zygmunt leżał, jak biała figura woskowa nieruchomy i wyprostowany, ale oczy miał otwarte, jeszcze większe i głębsze, i bardziej błyszczące, niż zwykle. Hrabina siedziała naprzeciw niego, a miała powieki czerwone od płaczu i bezsenności. Nie odwracała wzroku od chorego i mówiła doń tonem miękkim i cichym, jak się mówi do dziecka, ale pan Zygmunt nic nie odpowiadał tylko patrzył przed siebie temi gorącemi oczami, że aż Nastę strach zbierał. Hrabina zadawała sobie gwałt wielki, aby okazywać spokój, a nawet wesołość, ale, kiedy się odwróciła na chwilę, widać było, jak ją to dużo kosztuje.

— Trzeba się prędko podźwignąć, panie Zygmuncie — rzekła po dłuższem milczeniu i popatrzyła na chorego z takim macierzyńskim

uśmiechem, jakby chciała, aby ten uśmiech spłynął na serce chorego i pokrzepił je pociechą — trzeba koniecznie, abyśmy byli zdrowi, bo będziemy mieli gości.

Zygmunt uśmiechnął się także, ale smutno.

— Będziemy mieli gości — powtórzyła hrabina, patrząc ciągle swojemi dobrotliwemi oczami na chorego — kuzynka moja dziś wieczór przyjeżdża ...

— Walentyna — szepnął bardzo cicho pan Zygmunt i popatrzył na hrabinę przeciągłem spojrzeniem, w którem nie było uradowania, ale jakaś wielka, czuła wdzięczność. Uśmiech na jego ustach stał się jeszcze smutniejszy i począł znikać powoli, jakby gasł, aż całkiem zniknął, tonąc w posępnej obojętności twarzy.

Teraz hrabina wstała i wyszła do drugiego pokoju. Ledwie próg przestąpiła, a łzy puściły się jej tak gęsto, że nie widziała Nasty, ani lekarza ze Lwowa, który właśnie wysiadł z powozu. Lekarz wszedł do chorego, a Nasta wysunęła się cicho na dwór i usiadła na ziemi pod progiem domu. Oparła głowę na chudych, czarnych dłoniach i tak siedziała. Widziała, jak lekarz wyszedł i z niedobrą miną mówił coś hrabinie, a hrabina ciągle płakała; słyszała potem turkot bryczki i jęczenie dzwonka i widziała księdza Dzikowskiego ze Starego-Miasta w białej komży i z organistą Wiśniowskim; uważała kilka razy szmer sukni pani hrabiny i popielatej panny, wchodzących i wychodzących z domu — aż wreszcie wszyscy zaczęli wychodzić powoli i smutno z pokoju chorego i zrobiło się cicho, bardzo cicho.

Nasta odgadła, że to śmierć. Wstała teraz i udała się do środka. Pan Zygmunt już nie patrzał błyszczącemi oczyma ...

Ktoś potrącił Nastę i obudził ją z odrętwienia, z jakiem patrzała na umarłego, właściwie nic nie czując i nic nie myśląc. Była to stara Kinaszowa z Busowisk, taka biedna, jak ona, i taka samotna, jak ona.

— Dobrze, że jesteście, Nasto. Nie będę już wołała innej — rzekła Kinaszowa — będziemy czuwały i modliły się w nocy przy umarłym. Pani hrabina wam zapłaci.

Organista Wiśniowski zapalił dwie świece u głowy zmarłego i postawił krucyfiks między niemi; popielata panna przyniosła kosz kwiatów i obrzuciła niemi zwłoki. Tak miało zostać aż do jutra rana, dopóki organista nie przyjedzie z katafalkiem, kirem i świecami. Nasta i Kinaszowa zostały same. Kinaszowa była bardzo pobożna i umiała się modlić, jakby duchowna osoba. Ledwie usiadła, zaczęła szeptać modlitwy, jedną za drugą, a każda była inną. Nasta nie umiała się modlić; milczała, patrząc na Kinaszową, a gdy zasłyszała wyraźnie jakieś słowo, powtarzała je w myśli z nabożnem skruszeniem.

Tak czuwały noc całą, aż do pierwszych brzasków dnia. A kiedy niebo rumienić się zaczynało poranną zorzą, obie kobiety zmorzyła senność. Modlitwy Kinaszowej ucichły, Nasta oparła głowę znużoną na piersi. Jakieś lekkie stuknięcie w pokoju obudziło je ze nsu. Ocknęły się i podniosły oczy obie równocześnie, a porwawszy się szybko na nogi, jakby skamieniały ze zdumienia i świętego lęku.

Przed ciałem Zygmunta coś nagle zaszumiało i wyniosła, wiotka postać zarysowała się w brzasku porannym, a jutrzenka oblała ją, jakby cudowną glorją, różowem światłem ...

To była Matka Boska z obrazu Nasty!

Obie kobiety widziały ją dobrze; poznały odrazu twarz Madonny i padły na kolana, nie śmiąc wznieść oczu na zjawisko niebiańskie.

Kiedy ochłonęły z pierwszego wrażenia i nareszcie spojrzały przed siebie, zjawiska już nie było, tylko pierwsze promienie słońca, które się już zapaliło na niebie, potężną, jakby tryumfalną strugą wypełniły cały pokój i okryły złotym blaskiem białą twarz zmarłego ... a kwiaty, rzucone wczoraj na posłanie, silną wonią nasycały powietrze.

Nasta długo nie mogła wyjść z osłupienia; nie spostrzegła nawet, że Kinaszowej już dawno nie było. Jakby ulegając tajemniczej sile, Kinaszowa zaraz po owem widzeniu pośpieszyła do Busowisk, aby obwieścić cud i pierwsza pomodlić się przed obrazem Matki Boskiej. Nastę przywiódł do zupełnej świadomości siebie samej dopiero ruch ludzi w pokoju, bo właśnie organista przyjechał ustawiać katafalk. Sama pani hrabina dawała dyspozycje pogrzebowe; potem wraz z popielatą panną uklękła i modliła się długo przed zwłokami.

— *Et Valentine?* — zapytała swej towarzyszki, powstawszy od modlitwy.

— *Madame Valentine est déjà partie*[38] — odpowiedziała panna Pichot.

Hrabinie zadrżały usta, jakby gotował się w niej gwałtowny wybuch gniewu. Ale panna Pichot wzięła ją za ramię i cicho szeptać jej poczęła: pani Walentyna przyjechała wczoraj w nocy, już po katastrofie, i nie chciała budzić pani hrabiny. Nie była uprzedzona; wiadomość o zgonie pana Zygmunta wstrząsnęła ją strasznie. Nie kładła się nawet do snu, całą noc spędziła ubrana. Rano, o samym świcie poszła odwiedzić zwłoki i nie chciała, aby jej panna Pichot towarzyszyła. Wróciwszy, mówiła, że musi zaraz jechać, że nie wytrzyma ani na chwilę w tem miejscu. Była bardzo wzruszona i blada — *cette*

---

[38] *Et Valentine?* — (fr.) A Walentyna? *Madame Valentine est déjà partie* — (fr.) pani Walentyna już wyjechała.

— Odebrać, odebrać! zawołał zgromadzony tłum jednym chórem.

— Dalej chłopcy! Na Terszów! Kto za siekierę, kto za kół, i dalej na Terszów! — krzyknął pałamarz.

— Na Terszów! Na Terszów! — poczęli wołać wszyscy gospodarze, baby i dzieci.

— Ratujcie! Ratujcie! — zawtórzyła ochrypłym głosem Nasta, wyrywając się z rąk Tekli.

— Na Terszów! Na Terszów!

Nasta rzuciła się sama naprzód, jak furja, a za nią ruszył cały tłum, uzbrajając się po drodze w drągi, cepy, siekiery. Pyłypko jeden został; jego militarny charakter nakazywał mu neutralność, ale jako wierny syn Busowisk czuł się obowiązany dać wyruszającym strategiczną radę, aby uderzyli na parafję terszowską, która była na końcu wsi, od pól staromiejskich, bo wtedy Terszowiacy nie będą ich widzieli, a nim się gwałt zrobi we wsi, już będzie po wszystkiem.

Do Terszowa niedaleko — banda busowiska znalazła się niebawem pod plebanją. Księdza Tarczanina nie było w domu: wyjechał był do księdza dziekana do Strzelbic, właśnie w tym celu, aby się z nim naradzić w drażliwej kwestji Madonny. Tylko djak Soroka wychylił się z poza budynków i w jednej chwili znalazł się w niewoli.

— Gdzie nasza Matka Boska? Gadaj zaraz, psi synu! — wołali chłopi, potrząsając Soroką, który, drżąc ze strachu, jak liść, wskazał na drzwi zakrystji cerkiewnej, gdzie paroch umieścił obraz, chroniąc go przed wandalizmem tych samych ludzi, co teraz gotowi byli przelać o niego krew swoją i cudzą, jakby o najdroższą zdobycz.

— Dawaj klucze! — zawołano.

— To mnie puśćcie, a dam — odpowiedział Soroka, odzyskując przytomność.

Chłopi wypuścili Sorokę z swoich żelaznych dłoni, a zdradziecki djak, jak jeleń, skoczył i zniknął za sadem plebanji. Rzucono się za nim, ale Soroka umykał, jak strzała, i już dobiegał do gościńca, wołając o pomoc. Nastąpiła chwila bezradności, ale przerwała ją Nasta. Cała w strasznem uniesieniu, z pijanemi oczyma, z twarzą, jakby obłąkaną, na którą spadały bezładnie kosmyki siwych włosów z pod zsuniętego czepca, wyrwała jednemu z chłopów siekierę i poczęła rąbać drzwi od zakrystji. Przykład energiczny pociągnął innych i w jednej chwili drzwi były wyłamane. Obraz Matki znajdował się istotnie w zakrystji; powitano go radosnym okrzykiem.

Ale w tej chwili stanowczej na wzgórzu, zasłaniającem staromiejski gościniec, zabłysnął bagnet i pokazał się hełm żandarma. Soroka,

uciekając spotkał go na gościńcu, wracającego do miasta z patrolu, i przybywał z nim na odsiecz. Widok żandarma, zawsze tak groźny i imponujący, w tej chwili nie odniósł wypróbowanego skutku. Chłopi ścisnęli się koło obrazu, a Nasta podniosła wgórę siekierę i wysunęła się naprzód z zapamiętałością głodnej tygrysicy. Grad kamieni, w które się zaopatrzyło młode pokolenie busowiskie, biorące udział w wyprawie, posypał się na żandarma i Sorokę, a chłopi, unosząc obraz, ruszyli naprzód. Żandarm chciał im zastąpić drogę, ale Nasta w tej chwili ze zręcznością Indjanki rzuciła nań siekierę, która zadzwoniła o hełm i zsunęła się po czole żandarma na ziemię.

Rozległ się huk strzału i odgłos powalonego ciała. To Nasta padła, ugodzona kulą żandarma.

Na widok krwi chłopi busowiscy rzucili się zaciekle naprzód, a żandarm z trudnością tylko uszedł śmierci, chroniąc się do plebanji. Teraz tłum bez przeszkody ruszył zpowrotem do Busowisk. Nasta porwała się także z zakrwawioną piersią, ale w tej chwili upadła znowu i musiano ją wziąć na ręce. Dwie kobiety ujęły obraz i podniosły go wgórę, jak chorągiew, a Makohon zaintonował nagle: „P r e c z y s t a j a D i w o M a t e r !“[42].

Wielkim chórem zawtórowała rzesza i cały orszak z obrazem na czele, jakby tryumfalna procesja, posuwał się ku Busowiskom. Na odgłos śpiewu i widok tłumu począł się zbierać lud z pola i przydrożnych chat i łączyć się z orszakiem, który wzbierał, jak strumień górski, i urósł niebawem w ogromny zastęp. Pieśń pobożna rozgrzmiała teraz potężnym chórem i płynęła wdal wzdłuż kotliny Dniestru. Przed nową cerkwią w Busowiskach zatrzymała się procesja, a kiedy Nastę złożono na murawie, pokazało się, że już nie żyła.

---

[42] *Preczystaja Diwo Mater* — (z ukr.) przeczysta Dziewico Matko.

pauvre madame Valentine![39] Pojechała do państwa Łanowskich do Maniowiec. To niedaleko, na pogrzeb może przyjedzie.

Hrabina wysłuchała niecierpliwie szeptu panny Pichot.

— *Ah, oui, je comprends! Cest la fête de madame Lanowska, on dansera aujourd'hui à Maniowce!*[40] — zawołała z gorzkim uśmiechem.

Kiedy Nasta wróciła do Busowisk, cała wieś już wrzała. Kinaszowa ogłosiła wieść o cudownem objawieniu się Matki Boskiej, przy zwłokach malarza ze Lwowa, co ją tak pięknie wymalował na obrazie. Kinaszową znano dobrze: była bardzo pobożna, uczciwa i nie kłamała nigdy — opowiadanie jej znalazło zupełną wiarę, a obok zdumienia wywołało niesłychaną konsternację.

Stał się cud, a oni już nie mają cudownego obrazu, a oni wypędzili Matkę Boską! Słowa Tekli zawisły teraz nad Busowiskami, jak czarna chmura, ciężarna siarką i ogniem, nad Sodomą i Gomorą. Członkowie komitetu cerkiewnego potruchleli, ikonoklaści bali się pokazać we wsi.

Wśród tego odezwał się naraz koło cerkwi krzyk okropny, jakgdyby kto wołał o ratunek. Wszystko, co miało nogi, pobiegło ku cerkwi — i ujrzało Nastę, która nie znalazłszy już obrazu, wybiegła przed cerkiew, podniosła ramiona wgórę i z wyrazem obłąkania w oczach wołała z całej siły i bezustannie:

— Ratujcie! Ratujcie!

Zgromadzeni przed cerkwią zaczęli rozprawiać żywo o cudownem objawieniu się Matki Boskiej, podczas gdy Tekla starała się uspokoić Nastę, głaszcząc ją ciągle dłonią po twarzy, jak dziecko. Komentowano rozmaicie wypadek, który nadawał tak nadzwyczajne znaczenie całej sprawie obrazu. Pokazało się, że każdy coś przeczuwał, coś wiedział, coś sobie myślał, tylko, że nie mówił nikomu. Kto miał oczy, ten zaraz widział. Albo to bez przyczyny było, że do obrazu zaczęli zaraz tak przychodzić panowie i panie ze Spasa? Albo to ludzkim trybem przyszło, że ołtarz Nasty tak się w jednej chwili ustroił firankami, wstążkami, kwiatami, że już i złocić go nie było trzeba? Albo to nic nie miało znaczyć, że stary Kłymaszko padł zaraz przed obrazem, jak długi, i bił czołem pokłony, jak przed „płaszczenicą", Kłymaszko, co ma łaskę u Boga, bo tyle cerkwi na chwałę Jego zbudował? Mówili, że to nierzetelna Matka Boska, a

---

[39] *cette pauvre madame Valentine!* — (fr.) ta biedna pani Walentyna.
[40] *Ah, oui, je comprends! C'est la fête de madame Lanowska, on dansera aujourd'hui à Maniowce!* — (fr.) ach, rozumiem! To imieniny pani Łanowskiej, będą dzisiaj tańczyć w Maniowcach!

teraz widzą, czyja prawda! Sama Matka Boska stwierdziła, że to jej obraz, ikon święty i rzetelny, bo objawiła się w takiej samej postaci u zwłok malarza, co ją tak wymalował, jakby ją widział. A musiał widzieć, skoro zaraz umarł, bo to nie może być, aby człowiek, co doznał takiej łaski, chodził dalej po mizernej ziemi; dla niego już było gotowe miejsce w Królestwie Niebieskiem. Ot, co narobili! I co teraz będzie?

Urlopnik Pyłypko, który, usiadłszy na kobylicy, słuchał z uśmiechem wielkiej moralnej przewagi wszystkich tych uwag i narzekań, wyjął z ust fajkę porcelanową z portretem generała Radeckiego i z ogromnym kutasem i rzekł:

— Co będzie? Oj, jacyż wy „durni“ chłopi, jacyż wy „durni“! To będzie, że Terszowiacy będą mieli cudowny obraz i że będą się do nich garnąć ludzie aż z pod Węgier i Mazurów, a co roku będą mieli dwa wielkie odpusty, jak na Kalwarji Pacławskiej! Ksiądz Tarczanin wiedział, co robił, zabierając z sobą obraz. Taki obraz to jest wielkie bogactwo i dla popa, i dla chłopa: ludzie do niego płyną i grosz płynie, jak woda! Soroka wiedział, co robi, bo on jest djak w Terszowie a nie w Busowiskach. Ot, co będzie, głupi ludzie. Figa wam będzie!

Słowa Pyłypki sprawiły piorunujący efekt. Sprowadziły kwestję z mistycznych wyżyn na grunt rzeczywisty i pozytywny, a uczyniły to siłą argumentu tak zrozumiałego i tak trafiającego do przekonania wszystkich, że ci nawet, co zachowywali się jeszcze sceptycznie i obojętnie, zaczęli się zapalać i unosić.

Pałamarz Makohon, który stał dotąd w milczeniu skruszonego winowajcy, poczuł nagle, że właściwie nie jest winowajcą, ale najbardziej skrzywdzoną na świecie istotą, ofiarą czarnej zdrady! Jeżeli kto, to on, jedyna w Busowiskach kościelna osoba, został okradziony, zniszczony, zrabowany, odarty z tego wszystkiego, co mu dać mogła straż nad cudownym obrazem! Gdyby teraz miał przed sobą Sorokę, zdrajcę, poganina, „hadiugę“,[41] z jakąż rozkoszą udusiłby go temi dłońmi, które teraz ściskały się w bezsilnym gniewie!

— Kiedy tak — zawołał z pasją — kiedy tak, to my nie damy obrazu, to my go odbierzemy!

Pyłypko zaśmiał się pogardliwie.

— Dać łatwo, odebrać trudno! Terszowiacy nie tacy głupi, jak wy: nie oddadzą!

---

[41] *hadiuga* — (z ukr.) gadzina, przen. przezwisko, tyle co cham.